ROK III WRZESIEŃ 1945 R. Nr 1

warszawski miesięcznik społeczno literacki

LEWY TOR

1945 r. Wrzesień Nr 1.

TREŚĆ NUMERU

Od Redakcji

Wznawiając „Lewy Tor", pragniemy przyczynić się do obudzenia świadomości tradycji frontu ludowego w Polsce wśród lewicowych kół inteligencji.

Wielu spośród tych, którzy dopiero teraz, po wojnie, względnie w czasie wojny „doszlusowali" do jednolitego frontu demokratycznego, wielu spośród młodych, wchodzących dopiero w szranki politycznego życia, nie zdaje sobie sprawy, że ideały i zasady, kształtujące dzisiejszą rzeczywistość naszą nie są dorobkiem ideologicznym czasu wojny, tym więcej nie są towarem ideologicznym importowanym z zewnątrz — ale są wyrazem żywego i głębokiego nurtu polskiego ruchu politycznego, mającego swoją bogatą tradycję.

Wprawdzie panujący w Polsce przed wojną reżim uczynił wszystko, ażeby nie pozwolić ujawniać się temu nurtowi. Rozporządzając całym aparatem państwowym i wyzyskując go dla tego celu, sanacyjne rządy nie cofały się przed żadnymi środkami, włącznie do sławnej Berezy, dla zdławienia samego ruchu i złamania tych, którzy temu ruchowi służyli. Mimo to ruch jednolitofrontowy przed wojną może się poszczycić wcale poważnym dorobkiem.

Zrozumienie potrzeby jednolitego frontu demokratycznego w radykalnych grupach stronnictw lewicowych ujawniło się niemal równocześnie z pierwszymi przejawami wpływów faszyzmu na naszą rzeczywistość polityczną. W masach świadomość tej potrzeby dojrzewała w miarę jak w praktyce życia zbiorowego ujawniało się właściwe oblicze przewrotu majowego.

Przez długi stosunkowo okres czasu rządy sanacyjne, w wysiłku zepchnięcia świata pracy nawet z tych pozycyj, które zdołał osiągnąć po poprzedniej wojnie światowej, korzystały z poparcia zmobilizowanych przez siebie szerokich kół inteligencji.

Do swojego rydwanu udało się sanacji zaprządz niemal cały ruch zawodowy inteligencji pracującej, pozbawić ten ruch roli samodzielnego czynnika społecznego i przekształcić w najniższe organa administracji państwowej. Mniejsze sukcesy osiągnęła sanacja na terenie robotniczego ruchu zawodowego. Ale i tu udało się jej osłabić pozycję klasowego ruchu przez rozbicie go i przeciwstawienie mu robotniczych organizacyj zawodowych, uzależnionych od administracji (Moraczewszczy-

zna i Jaworowszczyzna), względnie przez uzależnienie od siebie poszczególnych działaczy zawodowych.

Na terenie politycznym — demokratycznych stronnictw robotniczych i chłopskich — polityka sanacji również mogła poszczycić się poważnymi sukcesami. Po roku 1926 obfity plon dała sanacyjna taktyka „wprowadzania konia trojańskiego" do obozu przeciwnika. Polska Partia Socjalistyczna i Stronnictwo Ludowe przeżyły szereg wstrząsów, które wybitnie osłabiły robotniczy i chłopski ruch polityczny, zwłaszcza, że nawet po tych wstrząsach i rozłamach macierzyste organizacje P.P.S. i Str. Lud. nie zdołały całkowicie usunąć ze swego łona elementów ciążących do sanacji. Udało się również sanacji przy pomocy akcji dywersyjnej uniemożliwić zorganizowanie się silnego, o wyraźnym obliczu ideowym stronictwa demokratycznego, mimo sprzyjających warunków — coraz krytyczniejszego nastawienia wśród inteligencji w stosunku do polityki rządów sanacyjnych. Jeżeli w zwalczaniu wyżej wymienionych kierunków politycznych stosowano taktykę „w rękawiczkach", to w stosunku do ruchu komunistycznego nie zachowywano żadnych osłonek, zwalczając ten ruch bezwzględnie i brutalnie.

Obojętność stronnictw lewicowych w stosunku do metod walki wobec komunistów zemściła się szybko na tych partiach, rychło bowiem stosować zaczęto do radykalniejszych działaczy, niezależnie od przynależności partyjnej, te same bezwzględne środki pod pozorem walki z komunizmem.

W tych warunkach montowanie jednolitego frontu demokratycznego nie było rzeczą łatwą, ani bezpieczną. Fakt, że ruch jednolitofrontowy mimo to zdołał osiągnąć szereg zwycięstw i zdobyć szereg pozycyj w naszym przedwojennym życiu publicznym, świadczy o sile ideowej tego ruchu.

Wśród inteligencji pracującej najbardziej jawny wyraz znalazł ten ruch na froncie literackim. Służył temu ruchowi wcale poważny poczet czasopism: „Oblicze dnia", „Lewar", „Lewy Tor", „Nowa Wieś", „Poprostu", „Sygnały". Pokonywując niesłychane trudności, front ludowy zdobył się nawet na własne pismo codzienne „Dziennik Popularny" i na własne wydawnictwo książkowe „Nową Bibliotekę Społeczną". Los tych wszystkich wydawnictw był jednakowy — kończyły swój chlubny, pełen konfiskat żywot zamknięciem i przeważnie aresztowaniem odpowiedzialnych redaktorów, jeżeli nie zdołali zmylić za sobą tropów. Na terenie też literackim w „Lewarze", „Lewym Torze", „Nowej Wsi" i „Poprostu" ogłoszona została odezwa jednolitego frontu pisarzy, podpisa-

na przez redakcje wyżej wymienionych pism i kilkudziesięciu pisarzy. Odezwa stwierdzała, że „groźny dla kultury i postępu nawrót do barbarzyństwa, coraz jawniej i konsekwentniej realizowany przez siły reakcji, zmusza każdego niezależnego pisarza i artystę do zajęcia wyraźnej i zdecydowanej postawy”. Wzywała wszystkich pisarzy do solidarnej walki z faszyzmem „w jednym szeregu z masami robotniczymi i chłopskimi”.

Jednolity antyfaszystowski front demokratyczny został również zrealizowany na odcinku oświatowo - szkolnym. Wyrazem tego frontu była opozycyjna w stosunku do ówczesnego Ministerstwa Oświaty i podporządkowanego mu w tym okresie Związku Nauczycielstwa Polskiego organizacja nauczycielska „Nowe Tory”. Organizacja ta wydała szereg broszur. („W obliczu katastrofy szkolnej” — 1932 r., „W obronie szkoły demokratycznej” — 1934 r.), wydawała również stałe czasopismo: „Miesięcznik Nauczycielski”. Prowadząc zażartą walkę z sanacyjną polityką oświatową, doprowadziła w łonie Związku Nauczycielstwa Polskiego do częściowego zwycięstwa żywiołów lewicowych, czego najjaskrawszym dowodem i wyrazem był strajk szkolny oraz zmiany w Zarządzie Głównym Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Wypadowymi pozycjami ruchu jednolitofrontowego wśród inteligencji stały się również organizacje społeczno - kulturalne: „Liga Obrony Praw Człowieka i Obywatela” i „Związek Wolnomyślicieli”.

W nowej sytuacji, po zwycięskiej wojnie z faszyzmem, na terenie międzynarodowym ruch jednolitego frontu demokratycznego, wyzwolony z okowów rodzimej reakcji, rozlał się szeroką, zwycięską falą.

Z czołowych działaczy frontu ludowego przed wojną niewielu doczekało się triumfu głoszonych ideałów i zasad. Zaszczuci przez rodzimą reakcję, wskazywani niemal palcem, ordynarnie denuncjowani przez przeciwników politycznych, w ogromnym procencie jedni z pierwszych stali się ofiarami gestapowskich bestialstw. Nowi ludzie, nowi bojownicy tych samych ideałów wypełnili już w czasie okupacji szczerby i luki w szeregach. Front ludowy stał się siłą twórczą, kształtującą nową, powojenną rzeczywistość polską, siłą gwarantującą lepszą przyszłość Rzeczypospolitej.

Tym większy też obowiązek spada na wszystkich tych, którym troska o lepszą przyszłość leży na sercu, uczynienia jednolitego frontu demokratycznego jak najbardziej zwartym

ideologicznie i organizacyjnie. Walka bowiem o realizację założeń ideologicznych frontu ludowego trwa nadal. Zmieniły się tylko pozycje ścierających się sił społecznych, zmieniły się również formy walki. W tej nowej sytuacji i przy tych nowych formach walki waga jednolitego frontu nie tylko nie zmalała, ale wzrosła. I jakkolwiek za pozytywny i pomyślny należy uznać fakt, że w ramach frontu ludowego znalazło się dzisiaj wielu jego przeciwników, do chwalców Berezy i „kija jako motoru postępu" włącznie, jakkolwiek fakt ten jest najoczywistszym dowodem pełnego zwycięstwa idei jednolitego frontu demokracji — sam ten fakt może i powinien budzić troskę o czystość linii ideologicznej ruchu, może i powinien skłonić do tym większego zwarcia się jego świadomych i ideologicznie mocnych czynników. W tym wysiłku nawiązanie do tradycji i osiągnięć frontu ludowego przed wojną oddać może poważne usługi.

WŁADYSŁAW BIEŃKOWSKI

Powstanie warszawskie

Geneza i tło

Powstanie warszawskie wywołane dn. 1 sierpnia 1944 r. stanowi jedną z najtragiczniejszych kart w dziejach walki narodu polskiego w ciągu pięciolecia niemiecko - hitlerowskiej okupacji.

Społeczeństwo stolicy dało dowody najwyższego heroizmu. Stolica, która zerwała się, wyprostowała okrwawiony grzbiet, aby zrzucić dławiący ją koszmar okupacji — przez dwa miesiące opasana żelaznym pierścieniem znosiła nieopisane cierpienia. Zalewane lawiną stali i ognia miasto kruszyło się, waliły się mury, grzebiąc pod sobą setki i tysiące ludzi. Jak ofiarne pochodnie płonęły gmachy mieszczące w sobie wielowiekowy dorobek polskiej kultury.

W ciągu dwu miesięcy warszawskich barykad tysiąckrotnej przewadze wroga powstańcy przeciwstawiali pogardę śmierci, dokonywali nadludzkich wysiłków, aby powstrzymać siłę grożącą zagładą miastu i jego mieszkańcom.

Z drugiej strony powstanie warszawskie to rezultat i widownia planowej i cynicznej gry garstki przywódców, którzy nie zawahali się dla własnych celów rzucić na hazard losów

stolicy i jej miliona mieszkańców. Nigdy może bohaterstwo i szlachetna żądza walki z największym wrogiem narodu nie były tak podstępnie wyzyskane; nigdy może tyle ofiar nie padło tak nadaremnie.

Powstanie warszawskie pociągnęło za sobą zburzenie naszej Stolicy. W gruzach i zgliszczach zginął dorobek dziesiątków pokoleń, zginęły na zawsze bezcenne i nigdy nieodżałowane skarby naszej kultury. Był to najboleśniejszy cios jaki zadany został narodowi polskiemu. Skutki jego odczuwa Polska dziś i odczuwać będzie w ciągu wielu lat, dźwigając na swych barkach ciężar odbudowy stolicy.

Odpowiedzialność za zburzenie Warszawy, za sto tysięcy ofiar ludzkich ustalić musi historia, pisana już dziś tymi samymi rękami, które broniły barykad Woli, Starówki, Żoliborza, Mokotowa czy Śródmieścia.

Aby zrozumieć polityczny sens powstania warszawskiego cofnąć się musimy myślą wstecz, prześledzić rozwój tej politycznej koncepcji, której uwieńczeniem była tragedia Warszawy. W r. 1941, w chwili napaści armii hitlerowskich na Z.S.R.R., obóz londyński w swej większości oraz cała reakcja krajowa zareagowały wybuchem radości. Zaświtała dla tego obozu jedyna w dziejach okazja do zrealizowania dawnych planów — rozbicia Związku Sowieckiego rękami Niemiec. Następnym członem tego rozumowania było przewidywanie, iż osłabione i wykrwawione w tej walce Niemcy staną się łatwym łupem Anglii i St. Zjedn. W ten sposób zlikwidowane zostałoby raz na zawsze „niebezpieczeństwo wschodnie" a Polska — jak wyraźnie formułowały to niektóre pisma sanacyjne — stałaby się „decydującym mocarstwem na wschodzie Europy". Tragizm położenia w jakim znajdowała się nie tylko Polska, ale i cała Europa, nie przeszkadzały reakcyjnym wodzom w marzeniach o rozbiorze ZSRR, a rozmach hitlerowski w przekształcaniu oblicza Europy udzielił się i im. Często w prasie i wypowiedziach spotykało się koncepcje przyłączenia do Polski całej Ukrainy i całej Białorusi. Trudno orzec co w tych koncepcjach było bardziej zbrodnicze, czy ich zbieżność z programem hitlerowskim, nadzieja, że Polska dokończy dzieła rozpoczętego przez Hitlera w 1939 r., czy też ich absurdalność, ich absolutne nieliczenie się z rzeczywistością, z realnym układem sił, podporządkowywanie interesów narodu i państwa chimerze tylko dlatego, że odpowiadały one najskrytszym marzeniom nielicznej grupy rządzącej. Jeśli reakcja polska wielokrotnie w dziejach stawiała na koncepcje zgubne dla narodu, jeśli prowadziła politykę sprzeczną z inte-

resami społeczeństwa i państwowości polskiej, to przecież zawsze kierował nią jakiś interes, zawsze otrzymywała jakiś ekwiwalent.

Dowództwo AK i polityczni przywódcy obozu londyńskiego gorączkowo przygotowywali się do ostatniego decydującego aktu, który miał stanowić uwieńczenie całej ich dotychczasowej działalności — do powstania. Niemcy były rozbite i nie wchodziły w rachubę w planach londyńskich sztabowców. Wystarczyło obserwować ruchy odwrotowe wojsk hitlerowskich, aby upewnić się, że sprawa ostatecznego opuszczenia przez nie stolicy jest sprawą dni. Powstawał problem inny, nierównie groźniejszy — sprawa władzy w wyzwolonej stolicy. Utworzenie w dniu 22 lipca Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego, jako legalnej władzy polskiej wyłonionej przez KRN, zwiększyło panikę w obozie reakcyjnym. Lęk, że uznany przez ZSRR ośrodek władzy polskiej przybyciem do stolicy przekreśliłby ostatnie nadzieje reakcji na uchwycenie przez nią rządów, spowodował iż przestano myśleć, przestano śledzić rozwój wydarzeń i zmiany jakie w sytuacji militarnej i strategicznej zachodziły.

Wybuch powstania był przesądzony. Chciano, aby wybuch jego przynajmniej na kilka dni uprzedził wkroczenie oddziałów Armii Czerwonej do stolicy. Te kilka dni miały być zużytkowane na zorganizowanie się wyłonionych spod ziemi władz, miały dać czas na opanowanie terenu pod względem zarówno militarnym jak i politycznym. Z różnych wypowiedzi przypuszczać można, iż obliczano, że powstanie w Warszawie winno się utrzymać 7 do 8 dni.

Podstawowym oskarżeniem ciążącym na inicjatorach powstania warszawskiego jest fakt nienawiązania jakiejkolwiek łączności, jakiegokolwiek współdziałania z dowództwem Armii Czerwonej. Że rzucono z najwyższą lekkomyślnością na hazard los stolicy i jej miliona mieszkańców, oskarżenie to obciąża całą politykę obozu londyńskiego, który w przełomowych, decydujących o losie narodu i państwa chwilach myślał jedynie o własnych interesach i dla nich gotów był poświęcić wszystko.

Ale pod adresem dowództwa AK, które wzięło na swoje sumienie odpowiedzialność za powstanie można wysunąć inne jeszcze, nie mniej ciężkie oskarżenie. Zdumiewająca i niezrozumiała była bezczynność kierowniczych czynników AK w okresie panicznego odwrotu wojsk niemieckich, w okresie ucieczki cywilnych władz okupacyjnych i daleko posuniętego rozprzężenia w aparacie wojskowym. W tym to okresie spa-

raliżowanie węzła kolejowego warszawskiego zwiększyłoby chaos na tyłach łamiącego się frontu, mogłoby pociągnąć za sobą nieobliczalne wręcz następstwa. Pozostawienie na prawym brzegu Wisły masy rozbitego wojska, sprzętu i taborów utrudniłoby, jeśli wręcz nie uniemożliwiło Guderianowi opanowanie sytuacji. Sparaliżowanie węzła warszawskiego uniemożliwiłoby Niemcom wywiezienie magazynów, zagrabionego mienia polskiego, cennego sprzętu technicznego, maszyn itd. Według oceny fachowców ze sfer AK unieruchomienie na przeciąg wystarczający, t. zn. kilkunastu dni węzła kolejowego było, przy środkach jakimi dysponowała AK, całkowicie możliwe, było nawet łatwe. Całkowita bezczynność, stoicki spokój z jakim dowództwo AK obserwowało w ciągu kilkunastu dni rozgrywające się w stolicy, wydarzenia, jest najjaskrawszym potwierdzeniem zasady „nieingerencji" jaką stosowano wobec walk rozgrywających się na innych ziemiach między hitlerowską przemocą a ZSRR — podstawową siłą w obozie sojuszników, która wniosła największy wkład w pokonanie Niemiec.

Bezczynność ta trwała również i wtedy, kiedy w krytycznej chwili pchnęli Niemcy na obronę Warszawy nowe pancerne dywizje, które w ciągu szeregu dni przed powstaniem spokojnie przejeżdżały przez Warszawę. Nie zrobiono niczego, aby przeszkodzić im, albo przynajmniej opóźnić ich przybycie do wyznaczonego celu. I wówczas dowództwo AK uznało, że nie należy wzmacniać wojsk sowieckich, niech „wykrwawią" jak najsilniej zanim wkroczą do Warszawy. Nie jest wykluczone, że rozgorączkowana paniką wyobraźnia kazała im w posiłkach idących na wschód widzieć sprzyjającą okoliczność, która da obozowi londyńskiemu kilka dni więcej na silniejsze usadowienie się w powstańczej Warszawie.

Niezależnie od tego jakie rozumowanie towarzyszyło tej całkowitej bezczynności w najważniejszym i najłatwiejszym do szkodzenia wrogowi okresie — faktem jest, że postawą swą kierowniczy sztab AK wydatnie przyszedł z pomocą okupantowi, ułatwił wycofanie ze wschodu rozbitych i zdemoralizowanych oddziałów oraz wysłanie świeżych wypoczętych rezerw. Faktem tym jeszcze przed wybuchem powstania przesądzono jego losy, zaciśnięto Warszawie samobójczą pętlę.

Termin ostateczny—dnień 1 sierpnia—ustalony został pod wpływem dwu okoliczności. W niedzielę dnia 30 lipca rozeszły się w Warszawie wieści o pojawieniu się czołgów sowieckich w sąsiedztwie północno-wschodnich przedmieść Pragi oraz o panice jaka ogarnęła oddziały niemieckie. Drugą okolicznością była zapowiedziana na dzień 1 sierpnia wizyta Mikołaj-

czyka w Moskwie. Powstanie miało nie tylko poprzeć premiera rządu londyńskiego, lecz głównie i przede wszystkim zapobiec ewentualnemu kompromisowi. Wybuch powstania w Warszawie wyraźnie oznaczał przesunięcie się ośrodka dyspozycyjnego w ręce wojska, że władze cywilne, rząd emigracyjny nie może w tej chwili decydować o niczym,

W przyszłości dokumenty i zeznania odpowiedzialnych i kierowniczych postaci pozwolą być może ustalić, jak odbyło się ogłoszenie ostatecznego terminu wybuchu. Stwierdzić trzeba, że tylko część oddziałów AK była o tym terminie powiadomiona, że znaczna, sięgająca połowy część oddziałów była zaskoczona wybuchem, w stanie rozproszenia, bez broni, która znajdowała się często w odległej dzielnicy. Wybuch powstania ustalony był na godzinę 5 po południu, faktycznie zaś już o godzinie 4 strzelanina rozniosła się na wszystkie dzielnice. Tymczasem w szeregu dzielnic na godzinę 3 po południu wyznaczone były odprawy dowódców, na których miano zakomunikować ewentualny termin. Oficerowie, udający się na te zbiórki, zaskoczeni zostali strzelaniną na ulicach, odcięci od własnych oddziałów, od broni, z dala od punktów, w których wypełniać mieli określone od dawna bojowe zadania. Rozmowy z oficerami AK w okresie powstania potwierdziły, iż połowa z nich powstaniem była zaskoczona. Nawet czołowi przywódcy AK, ludzie, których nazwiska głośne były w okresie walk powstańczych, przyznawali otwarcie, iż o terminie powstania nie wiedzieli, że pierwsze dni spędzili bezczynnie zanim udało im się nawiązać kontakty.

Fakt ten, na ogół mało znany, rzuca niezmiernie jaskrawe światło na genezę powstania warszawskiego. Zanim uzyskamy możność pełnego wyjaśnienia tych okoliczności należy przyjąć hipotezę, iż o powstaniu zadecydowała jedna z grup, prawdopodobnie współpracująca bezpośrednio z Sosnkowskim, klika otaczająca Bora, która dla siebie wygrać chciała wszystkie atuty polityczne. Klika ta, powziąwszy decyzję, rozesłała wiadomość własnymi drogami, omijając ogniwa dalej od niej stojące.

W ten sposób powstanie wywołane zostało nie tylko bez uzgodnienia i porozumienia z zachodnimi aliantami, nie tylko bez jakiejkolwiek próby nawiązania współdziałania z Armią Czerwoną (co jest zrozumiałe wobec celów, jakie sobie stawiało), nie tylko nie próbowano uzgodnić i wciągnąć do współpracy członków innych polskich organizacji wojskowych—Armii Ludowej, czy PAL, ale wywołane zostało bez porozumienia z własnymi oddziałami, bez zmobilizowania do podstawowego pierwszego uderzenia tych choćby sił jakimi rozporządzano.

Ideologia powstania

Obóz londyński, wywoławszy powstanie, uwagę swoją skupił na dwu zadaniach: militarnym i politycznym umocnieniu się w opanowanych dzielnicach miasta, zwerbowania do wojska możliwie największej ilości ludzi, którzy, nieuzbrojeni wprawdzie, mogli stanowić pozór siły i szerokiego oparcia w społeczeństwie; polityczne opanowanie terenu polegało na ujawnieniu się aparatu podziemnego, poczynając od centralnej „Rady ministrów na kraj", a kończąc na „delegatach dzielnicowych". Drugi wysiłek poszedł w kierunku szerokiej akcji propagandowej, urobienia opinii społecznej w przewidywaniu rychłego wkroczenia do Stolicy oddziałów Armii Czerwonej.

Jakie cele stawiali powstaniu inicjatorzy, jaką atmosferę pragnęli stworzyć w Stolicy najjaskrawiej ilustrują oficjalne wypowiedzi. Rozkaz Bora o rozpoczęciu powstania nie widzi żadnych trudności stojących przed powstańcami, niemcy są pokonani, pozostaje tylko: „wymierzyć zbrodniarzom niemieckim przykładną karę za terror i zbrodnie dokonane na ziemiach Polski".

Właściwe sformułowanie celów walki znalazło się w odezwie podpisanej dnia 4 sierpnia przez „Delegata na kraj", Dowódcę AK i Przewodniczącego RJN.

„Trzy dni walki z okupantem — głosi odezwa — przyniosły nam wielkie sukcesy faktyczne i moralne. Oddziały AK opanowały, łamiąc opór okupanta, większą część Stolicy, wyzwalając jednocześnie w duszach Polaków entuzjazm dla walki i wiarę w jej powodzenie. Całe społeczeństwo polskie a przede wszystkim lud Warszawy śpieszy ofiarnie z pomocą walczącym, wszyscy podporządkowali się kierownictwu powstania, oddając do jego dyspozycji swe siły, wykazując dyscyplinę moralną i wysoką ofiarność w działaniu.

Niejedną przeszkodę napotkamy jeszcze na drodze do zupełnego wyzwolenia. Ale zespolone siły całego narodu Polskiego podporządkowane Rządowi Polskiemu w Londynie, Krajowej Radzie Ministrów i Dowódcy AK przezwyciężą je tak, jak łamią dziś opór wroga.

Co musi uderzyć w tej odezwie, to fakt, iż wypadł z niej główny wróg, przeciwko któremu rzekomo podniesiona została broń, hitlerowski okupant, mordujący naród polski w ciągu pięciu lat, wróg, przeciwko któremu stanęła uzbrojona garstka dokonująca cudów bohaterstwa, wróg, który z potwornym bestialstwem wyrzynał tysiące bezbronnej ludności, który po

dwumiesięcznym heroicznym oporze społeczeństwa Stolicy złamał powstanie, zamieniając w kupę gruzów Stolicę — ten wróg dla wojskowych i politycznych przywódców londyńskiego obozu nie istniał. Przeciwko niemu nie potrzeba było mobilizować społeczeństwa Stolicy. Odezwa wyraźnie mówi, iż ta „przeszkoda" została już przezwyciężona. Mamy tu wyraźną aluzję, że przeszkodą, którą z kolei trzeba przezwyciężyć jest zbliżająca się Armia Czerwona, jest pogróżka, że i ona złamana zostanie tak, jak „opór okupanta na ulicach Warszawy".

Odezwa powyższa, podpisana przez polityczne i wojskowe czynniki londyńskie, była tonem, który podchwyciły wszystkie organa obozu reakcyjnego, podchwyciła go propaganda posługująca się licznymi środkami oddziaływania na nastroje społeczeństwa. Oczywiście wypowiedzi na zebraniach i zbiórkach nie potrzebowały liczyć się ze słowami, nie musiały nakładać tłumika, który widoczny jest jeszcze w oficjalnej enuncjacji.

Kampanii antysowieckiej towarzyszyły już pozbawione wszelkich hamulców ataki na Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, stanowiący największą groźbę dla kliki oddającej się złudzeniu, iż trzyma już władzę w ręku. Oto co pisał jeden z organów AK w dniu 4 sierpnia:

„Bliski jest już moment wkroczenia wojsk sowieckich do Warszawy, zechce zapewne Rosja wykorzystać dla zmylenia i pozyskania sobie opinii społeczeństwa polskiego zmęczonego wojną... Zdradzieckiemu Komitetowi (PKWN), jak i oddziałom polskim wchodzącym w skład Armii Czerwonej przypadnie zapewne haniebna rola odegrania patriotycznej komedii, aby stworzyć grunt dla stopniowego sowietyzowania Polski". „Poczucie rzeczywistości — dodaje pismo — nakazuje nam największą czujność".

Kampania przeciwko ZSRR w akompaniamencie niewybrednych obelg i kalumnij przeciwko obozowi demokratycznemu, który stworzył Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego, zarzutów „zdrady" przeciwko krwawiącemu w walce o wyzwolenie Warszawy Wojsku Polskiemu—prowadzona była przed powstaniem, a po wybuchu nie tylko nie osłabła, ale przybrała na natężeniu. Celem jej było zwrócić społeczeństwo przeciwko Związkowi Sowieckiemu, przeciwko Czerwonej Armii, której wkroczenia oczekiwano z dnia na dzień.

Ale i wówczas, kiedy operacje na prawym brzegu Wisty rozwinęły się inaczej, niż przewidywali inicjatorzy powstania, akcenty antysowieckie nie tylko nie osłabły, ale wzmocniły się jeszcze. Do arsenału kłamstw i oszczerstw przybyło jeszcze jedno, że Armia Czerwona rozmyślnie przerwała działanie na

wieść o powstaniu. Zilustrujemy to cytatem z sanacyjnego organu „Tydzień” z dnia 9 sierpnia.

„Po ostatecznej klęsce i ucieczce niemców nie skończą się nasze obowiązki. Pozostanie zagadnienie rosyjskie. Do wszystkich swych postępków wrogich wobec Narodu Polskiego dodają dziś bolszewicy jeszcze jeden. Stojąc od dwóch tygodni na przedpolach Warszawy, perfidnie czekają z atakiem”.

Reakcja nie kryła, iż powstanie wywołane zostało nie tylko przeciwko niemcom, ale, i może głównie, przeciwko „bolszewikom”; o tym nadchodzącym „wrogu” pisano znacznie więcej, „niebezpieczeństwo sowieckie” przesłoniło propagandzie obozu londyńskiego całkowicie niebezpieczeństwo jakie opasywało powstanie ciasnym, śmiertelnym pierścieniem. Na Armię Czerwoną zwalono odpowiedzialność ze zbrodnicze nieodpowiedzialne rozpoczęcie walki, za to, że oblężona Warszawa stanęła w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa. Już dnia 8 sierpnia organ AK „Biuletyn Informacyjny” pisał o „niezmiernie trudnych warunkach”, w jakich znalazło się powstanie. „Duża część tych trudności, powiedzmy to otwarcie, powstała wskutek niezrozumiałej zwłoki na odcinku warszawskim w działaniach ofensywnych armii sowieckiej”. Teoria „dwu wrogów” znalazła w powstaniu swoje ostateczne rozwinięcie.

Cynizm tej postawy nie da się porównać z niczym. Z jednej strony wywołuje się powstanie skierowane głównym ostrzem przeciwko ZSRR, prowadzi się nie przebierającą w środkach kampanię antysowiecką, rozsyła się instrukcje, aby ludność nie okazywała żadnego entuzjazmu wkraczającej Armii Czerwonej — z drugiej strony szkaluje się tę armię za to, że jeszcze do miasta nie weszła.

WACŁAW BIELECKI

Nowa i stara demokracja

CZĘŚĆ I.

Nie ma dziś chyba bardziej używanego i nadużywanego słowa jak d e m o k r a c j a. Nie ma dziś chyba słowa, w które by ludzie wkładali tak różnorodną a często sprzeczną ze sobą treść.

Pomijając już jawne fałszerstwa i podszywanie się pod d e m o k r a c j ę różnych Arciszewskich, Raczkiewiczów, ba,

Petain'ów i Franco'w — nawet ci, którzy w dobrej wierze mówią demokracja często myślą o czymś całkiem innym.

Demokracją nazywa się powszechnie ustrój, który jest obecnie w Anglii, a był przed wojną we Francji i Belgii. Demokracją nazywamy ustrój, który budujemy dziś w Polsce. Najbardziej demokratycznym państwem na świecie ludzie radzieccy nazywają swoje Państwo — Z.S.R.R.

A jednak nawet powierzchowny obserwator od razu zauważy, że istnieją głębokie i zasadnicze różnice pomiędzy ustrojem i stosunkami społecznymi dziś w Anglii lub przed wojną w demokratycznych krajach zachodniej Europy a nową Polską demokratyczną, którą dziś budujemy, lub też demokracją, którą zbudował naród radziecki. Istnieją między nimi oczywiście także i zasadnicze cechy wspólne, które pozwalają wszystkie, tak różne od siebie, ustroje podciągnąć pod wspólny mianownik — demokracji. Ale różnice już na pierwszy rzut oka są tak wyraźne, że to wspólne miano jest absolutnie niewystarczające dla określenia ich istoty.

Wszyscy czujemy od razu, że my w Polsce budujemy demokrację innego typu niż w Anglii i innego typu niż w Związku Radzieckim. Zadaniem niniejszego artykułu jest właśnie próba analizy różnic pomiędzy tymi typami demokracji; demokracji mieszczańskiej, demokracji ludowej i demokracji proletariackiej.

Zacznijmy od najstarszego historycznie typu — demokracji burżuazyjnej.

* * *

Młoda rewolucyjna burżuazja 18-go stulecia pierwsza wypisała na swych sztandarach wielkie hasła demokracji: wolność, równość, braterstwo, hasła które triumfujący lud Paryża zatknął na gruzach Bastylii 14-go lipca. Cóż oznaczały hasła Wielkiej Rewolucji Francuskiej i jaka była ich treść społeczna?

Hasło wolności—wyzwolenia z niewoli feudalnej oznaczało przede wszystkim wolność handlu i przemysłu, zniesienie i zburzenie wszystkich barier i tam, biurokratycznych ograniczeń, które przeszkadzały swobodnemu rozwojowi kapitalizmu, swobodnemu rozwojowi burżuazji. Oznaczało ono jednak również wolność dla chłopów, zniesienie niewoli pańszczyźnianej i przeżytków feudalnych na wsi, gdyż bez tego niemożliwy był napływ taniej siły roboczej do fabryk, stworzenie rynku wewnętrznego — jednym słowem swobodny rozwój kapitalizmu.

Hasło równości oznaczało przede wszystkim zrównanie w prawach burżuazji ze szlachtą, równy start życiowy dla niej, zniesienie wszystkich przywilejów feudalnych. Mogło to być osiągnięte jedynie przez zrównanie wobec prawa wszystkich obywateli bez względu na pochodzenie i stan, przez zniesienie krzyczącej niesprawiedliwości społecznej, zniesienie ustroju, w którym jedna klasa (obszarnicy) posiada monopol na wszystkie przywileje, a pozostałe klasy społeczne monopol na wszystkie ciężary. Ten fakt, że hasła, które wysunęła młoda, dążąca do władzy burżuazja w walce z reakcją feudalną, były również hasłami wszystkich uciśnionych i wyzyskiwanych — pozwolił skupić pod sztandarami burżuazji i pod jej wodzą szerokie masy i zapewnił jej zwycięstwo w tej walce. Burżuazja, walcząc o swoje interesy, o swoją wolność, o zrównanie w prawach, stała się równocześnie orędownikiem i wyrazicielem dążeń i interesów szerokich mas społecznych — stała się naturalnym hegemonem w tej walce, jako klasa najpełniej i najlepiej reprezentująca dążenia i interesy nowej ery, ery kapitalizmu i demokracji mieszczańskiej. Zwycięstwo burżuazji stało się zatem początkiem nowej epoki w dziejach ludzkości. Zniszczony, zburzony został zmurszały ustrój feudalny, a na jego gruzach powstał nowy, ów obiecywany ustrój równości, wolności i braterstwa.

Im gruntowniej historia dokonywała swego dzieła, im gruntowniej wykarczowane zostały przeżytki feudalne, im głębsze i konsekwentniejsze były przemiany społeczne, tym trwalsze budowano podstawy dla szybkiego rozwoju i rozkwitu kapitalizmu. I tym, którzy dzisiaj utożsamiają słowo demokracja z pojęciem liberalizm, którzy z oburzeniem piętnują wszelkie zdecydowane posunięcia demokracji jako „niedemokratyczne", należy przypomnieć ów rewolucyjny okres narodzin demokracji mieszczańskiej, okres wielkiej Rewolucji Francuskiej, której wielkość polegała właśnie na tym, że masy ludowe potrafiły się w sposób zdecydowany, po jakobińsku rozprawić z reakcją, że potrafiły wykarczować wszystkie przeżytki feudalne i doprowadzić rewolucję burżuazyjną do końca. Masy ludowe rewolucję tę przeprowadziły, lecz owoce tego historycznego zwycięstwa zagarnęła przede wszystkim burżuazja.

Przypatrzmy się więc bliżej jak realizowała burżuazja hasła, które wypisała na swych sztandarach w „okresie burzy i naporu" rewolucji demokratycznej — innymi słowy — przypatrzmy się, czym jest w istocie, jaka jest treść społeczna demokracji mieszczańskiej.

A więc hasło w o l n o ś c i. Wolność stała się udziałem przede wszystkim burżuazji; wolny handel, wolny rozwój przemysłu, wolna konkurencja — oto podstawy rozkwitu i rozwoju kapitalizmu po zniesieniu i wykarczowaniu przez rewolucję demokratyczną wszystkich przeżytków feudalnych. Ludzkość dokonała wielkiego skoku naprzód, nastąpił gwałtowny wyścig w rozwoju techniki, przemysłu i kultury. Lecz jeśli w tym okresie można mówić o wolności i to względnej wolności burżuazji, to czyż może być mowa o wolności dla klasy robotniczej w ustroju burżuazyjnym? Formalnie wprawdzie robotnik jest wolny — rewolucja demokratyczna zerwała pęta feudalnej niewoli; formalnie może się nająć albo nie nająć do pracy — lecz faktycznie nie może być mowy o żadnym wyborze, o żadnej wolnej woli; jeśli robotnik nie chce umrzeć z głodu, musi się uzależnić od kapitalisty. Twardy, żelazny przymus ekonomiczny, widmo śmierci głodowej przywiązuje go bardziej nierozerwalnymi kajdanami do kapitalisty, niż potrafiły to uczynić więzy feudalne. A im bardziej kapitalizm rozwija się, im większa ilość środków produkcji skupia się w rękach kapitalisty, tym mocniejsze łańcuchy przykuwają robotnika do jego warsztatu. To samo można powiedzieć nie tylko o klasie robotniczej, lecz i o innych warstwach społecznych; w miarę rozwoju kapitalizmu „wolny" chłop i „wolny" drobny mieszczanin coraz bardziej podporządkowują się kapitałowi, z którym związani są tysiącem nici (długi, procenty, podatki itd., itd.). Na miejsce zależności feudalnej przychodzi zależność kapitalistyczna. Cóż więc pozostaje z tej wymarzonej wolności, o którą walczył lud? Pozostają swobody demokratyczne: wolność słowa, wolność organizowania się, wolność sumienia itd. Jest to niewątpliwie krok naprzód i to poważny krok naprzód w stosunku do średniowiecza; toteż robotnicy umieją wszystkie zdobycze demokratyczne cenić. Lecz i te swobody demokratyczne nie przychodzą im łatwo. Walczyć muszą o nie zaciekle i krwawo. Przy czym swobody demokratyczne są inne dla burżuazji, a inne dla robotników. Czyż może być mowa o rzeczywistej, całkowitej wolności słowa, prasy dla robotników, kiedy wszystkie drukarnie, papier, ogromna większość prasy, sale na zgromadzenia znajdują się w rękach kapitalistów? W tych warunkach wolność demokratyczna może być wykorzystana w całej pełni tylko przez burżuazję. Inne warstwy społeczne korzystają z nich w mocno ograniczonym zakresie.

Taka to i w o l n o ś ć demokracji mieszczańskiej!

Weźmy hasło r ó w n o ś c i. Czyż może być mowa o rze-

czywistej równości pomiędzy klasą kapitalistów posiadających wszystkie środki produkcji, wszystkie bogactwa, a klasą robotniczą, która nie posiada nic prócz swoich rąk do pracy? W miarę rozwoju kapitalizmu nierówność ta zaostrza się i pogłębia. Na jednym biegunie w rękach garstki kapitalistów gromadzi się coraz więcej środków produkcji, bogactw i kapitału, a na drugim, wśród klasy robotniczej, wśród pauperyzującego się chłopstwa i drobnomieszczaństwa coraz bardziej zwiększa się nędza, głód i bezrobocie. Cóż więc pozostaje z owej obiecanej równości? Pozostaje tylko formalna równość wobec prawa. Jest to niewątpliwie krok naprzód i to poważny krok naprzód w stosunku do średniowiecza, kiedy pozbawione były praw wszystkie warstwy prócz szlachty. Lecz w demokracji mieszczańskiej na miejsce przywilejów feudalnych przychodzą nowe przywileje — kapitalistyczne, na miejsce nierówności feudalnej — nierówność kapitalistyczna.

Taka to i równość demokracji mieszczańskiej!

Weźmy hasło braterstwa. Czyż może być mowa o braterstwie w ustroju, który opiera się na eksploatacji jednej klasy przez drugą, której rzeczywistą zasadą jest homo homini lupus (człowiek człowiekowi wilkiem). Czy może być mowa o braterstwie między kapitalistą a robotnikiem? Nie miłość — lecz nienawiść, nie braterstwo — lecz zaciekła i nieustępliwa walka klasowa, zaostrzająca się stale w miarę rozwoju kapitalizmu — oto co leży u podstaw nowego ustroju!

Takie to i braterstwo demokracji mieszczańskiej!

Demokracja — to znaczy dosłownie — władza ludu. Czy może być mowa o władzy ludu w ustroju kapitalistycznym, którego istota tkwi w uciemiężeniu całego ludu przez klasę uprzywilejowaną? Z tego co powiedzieliśmy, jest jasne, że kapitaliści monopolizując w swych rękach środki produkcji, wszystkie bogactwa, posiadają faktyczny monopol na władzę polityczną. Rządy znajdują się w rękach burżuazji — władza sprawowana jest w jej, lub przede wszystkim w jej interesie. Państwo staje się w jej rękach narzędziem przemocy stosowanej wobec mas ludowych. Cóż więc pozostaje z demokracji, z władzy ludu?

Z istotnej demokracji, z władzy ludu pozostaje tylko powszechne prawo wyborcze i udział przedstawicieli ludu w parlamencie. Jest to niewątpliwie krok naprzód i to poważny krok naprzód w stosunku do średniowiecza, kiedy lud pozbawiony był wszelkich praw politycznych. Klasa robotnicza nauczyła się cenić i wykorzystywać takie zdobycze jak powszechne wybory i trybunę parlamentarną. Lecz parlamen-

taryzm w państwach kapitalistycznych w istocie swej jest formą władzy, formą panowania burżuazji. Formą niewątpliwie lepszą niż np. feudalny absolutyzm, lecz niemniej formą panowania jednej klasy nad drugą. W okresie rozwoju kapitalizmu przemysłowego ta forma panowania, forma zapewniająca przy pozorach władzy ludu panowanie burżuazji, jest dla niej formą najlepszą i najwygodniejszą. Na miejsce władzy szlachty, wielkich posiadaczy ziemskich przyszło panowanie burżuazji.

Taka to i władza ludu w demokracji mieszczańskiej!

Demokratyczne, parlamentarne formy panowania burżuazji były dla niej odpowiednie i wygodne tylko do czasu. Im bardziej rozwijał się kapitalizm, im bardziej widocznie przeżywał się i chylił ku upadkowi, im jaskrawiej występowały wszystkie antagonizmy, im bardziej zaostrzała się walka klasowa i widmo rewolucji socjalistycznej spędzało sen z oczu kapitalistom, tym bardziej od form demokratycznych odwracała się burżuazja, tym częściej musiała się uciekać do metod brutalnego terroru, tym jaskrawiej występowała istota dyktatury burżuazji nie osłoniętej figowym listkiem demokracji. Ta sama burżuazja, która w latach swej burzliwej, rewolucyjnej młodości, gdy dążyła do władzy, skupiała pod swymi sztandarami lud do szturmu na bastiony reakcji, do walki o demokrację, gdy stała się klasą panującą, w szczególności u schyłku swych lat, zapomniała o grzechach rewolucyjnej młodości, w śmiertelnym strachu przed ludem, przed rewolucją — coraz częściej łączyła się z najczarniejszą reakcją przeciwko ludowi, przeciwko demokracji. Wystarczy przypomnieć rolę liberalnej burżuazji w rewolucji 1905 roku w Rosji. Sztandar demokracji, na którym wypisane były hasła: wolność, równość, braterstwo — sztandar, który burżuazja nie tylko wypuściła ze swoich rąk, lecz zbroczyła krwią najlepszych synów klasy robotniczej, krzepko ujęli w swe twarde, spracowane dłonie robotnicy po to, aby go nigdy ze swoich rąk nie wypuścić. I odtąd gdziekolwiek toczyła się walka o wolność, walka o demokrację, czy to na barykadach w Paryżu i Berlinie, w Wiedniu w 1848 r., czy na ulicach Petersburga, Moskwy, Warszawy i Łodzi w 1905 r., wszędzie klasa robotnicza przelewała swą krew jako awangarda rewolucji burżuazyjno-demokratycznej.

Klasa robotnicza, nowa rewolucyjna klasa społeczna wyrosła w ustroju kapitalistycznym, stała się hegemonem w walce o demokrację. Robotnicy, którym demokracja mieszczańska nie przyniosła ani rzeczywistej wolności, ani równości, ani bra-

terstwa, ani władzy ludu, zawsze rozumieli znaczenie swobód demokratycznych w walce o lepszą przyszłość. Rozumieli, że te zdobycze demokratyczne, jak prawo do organizowania się, do szerzenia swoich poglądów w słowie i piśmie, prawo wyborcze, dają im możność skupienia swoich sił do walki o lepsze jutro. Nic więc dziwnego, że to właśnie klasa robotnicza wzięła na swe barki główny ciężar walki w obronie demokracji i o demokrację, albowiem droga obrony zdobyczy demokratycznych, droga walki o ich pogłębienie i rozszerzenie, była jedyną drogą prowadzącą do osiągnięcia ostatecznego celu — demokracji proletariackiej. Ten ideał — na początku jeszcze bardzo mgliście, a później coraz wyraźniej przyświecał i przyświeca klasie robotniczej w długiej, mozolnej i ciężkiej walce o swoje wyzwolenie, o wyzwolenie ludzkości.

Demokracja, o którą walczył i walczy proletariat, wybiega daleko poza ciasne ramki demokracji mieszczańskiej. W stare hasła wolności i braterstwa wkładają robotnicy nową treść.

M y ś l e l i o w o l n o ś c i nie tylko formalnej, lecz wolności prawdziwej — o takim ustroju, w którym robotnik pracuje nie pod przymusem ekonomicznym, pod grozą widma śmierci głodowej, lecz z dobrej i nieprzymuszonej woli, gdyż pracuje na siebie, nie na kapitalistę, gdyż czuje się on gospodarzem i praca dla dobra ogółu przynosi mu zadowolenie i szczęście; o takim ustroju, który nie zna żadnych więzów i kajdan, gdzie człowiek pracujący jest naprawdę wolny.

M y ś l e l i o w o l n o ś c i, nie tylko formalnej, nie tylko wobec prawa, lecz o równości prawdziwej, o takim ustroju, w którym nie będzie już wyzysku człowieka przez człowieka, nie będzie już żadnych przywilejów, ani z racji pochodzenia, ani majątku, nie będzie wyzyskujących i wyzyskiwanych, nie będzie klas społecznych, a wartość człowieka mierzyć się będzie jego pracą dla dobra ogółu — o takim ustroju, w którym ludzie są naprawdę równi.

M y ś l e l i o b r a t e r s t w i e, nie tylko formalnym, lecz o braterstwie prawdziwym, o takim ustroju, w którym na skutek zniesienia przeciwieństw klasowych, zniesione zostaną walki wewnętrzne i wojny między narodami, w którym wypleniona zostanie nienawiść, w którym w zgodzie i braterstwie ludzie budować będą lepszą przyszłość.

M y ś l e l i o d e m o k r a c j i, nie tylko formalnej, lecz o rzeczywistej władzy ludu — o takim ustroju, w którym władzę sprawuje nie garstka kapitalistów, nie mniejszość nad większością, lecz ogromna większość narodu, klasa robotnicza,

w bratnim sojuszu z masami chłopskimi. Jednym słowem myśleli o *demokracji proletariackiej.*

Epoka, w której żyjemy jest chyba najlepszą ilustracją starej, bardzo starej prawdy, że wszystko na świecie się zmienia, wszystko płynie, wszystko ma swój początek, rozwój i koniec. Weźmy choćby Rosję. W ciągu kilkunastu lat, pod ciosami dwóch rewolucji zginęła Rosja carska, aby ustąpić miejsca na bardzo krótki okres Rosji Kiereńskiego, wreszcie Rosji Socjalistycznej. Przekształcenia, które normalnie rozwijałyby się w ciągu kilku stuleci od feudalizmu do kapitalizmu, od kapitalizmu do socjalizmu, dokonały się tu w ciągu ćwierćwiecza. Wszyscy zdajemy sobie sprawę, że żyjemy w okresie głębokich przekształceń społecznych, w którym zmienia się oblicze ziemi, w którym stare, przeżyte formy ustępują miejsca nowym. Ten nowy świat, którego zarysy już się coraz wyraźniej wyłaniają, rodzi się w mękach i bólach, w ciężkich zmaganiach nowego ze starym, postępu z reakcją. Wszyscy czujemy, że ludzkość znajduje się w przededniu nowego skoku naprzód, skoku o wiele większego, niż to było w 18-tym wieku, w okresie narodzin kapitalizmu. Jest to chyba widoczne dla każdego, że kapitalizm przeżył się ostatecznie. Odegrał on w swoim czasie wielką postępową rolę, pchnął naprzód ludzkość, rozwinął siły wytwórcze i kulturę, lecz na pewnym stopniu rozwoju z motoru postępu stawał się coraz bardziej jego hamulcem. I im dalej, tym ta reakcyjna, hamująca rozwój strona kapitalizmu stawała się wyraźniejsza i jaskrawsza. W ostatnim stadium rozwoju kapitalizmu, w jego stadium imperialistycznym, kapitalizm nie opiera się już na wolnym handlu, swobodnym rozwoju przemysłu, wolnej konkurencji, która była motorem rozwoju przemysłowego kapitalizmu. Staje się kapitalizmem monopolistycznym, w którym decydującą rolę odgrywają zjednoczenia kapitalistyczne, kartele, trusty, syndykaty, związane bezpośrednio z wielkimi bankami. Proces koncentracji i centralizacji kapitału posunął się tak daleko, że w rękach kilku magnatów finansowych — monopolistów znajdowały się całe gałęzie przemysłu, kontrola nad całokształtem gospodarki w kraju, a co za tym idzie — kontrola i panowanie nad całokształtem życia.

Świat cały został już podzielony pomiędzy wielkie mocarstwa imperialistyczne, pomiędzy którymi antagonizmy i przeciwieństwa zaostrzają się coraz bardziej — wre coraz bardziej zaciekła walka: o źródła surowców, a kolonie, o rynki zbytu, o eksport kapitałów — jednym słowem o podział świata.

Przeciwieństwo, które nieustannie prowadzi do wojen imperialistycznych, wojen światowych.

W tym stadium rozwoju kapitałowi monopolistycznemu bynajmniej nie odpowiadają dawne demokratyczne formy rządzenia. Przeciwieństwa, wstrząsające kapitalizmem, a przede wszystkim przeciwieństwa między kapitałem a klasą robotniczą zaostrzają się do tego stopnia, że w każdej chwili grożą wybuchem i magnaci finansowi drżąc przed nieuniknioną zagładą jedyny ratunek widzieli w bezwzględnym terrorze, w polityce opancerzonej pięści — na wewnątrz, na zewnątrz zaś — w wojnie i podbojach.

Swobody demokratyczne umożliwiające masom pracującym organizowanie się do walki o swe wyzwolenie, stały się dla kapitału monopolistycznego nie do zniesienia. Rozgromienie demokracji, odebranie wszelkich swobód politycznych, zmonopolizowanie życia politycznego podobnie jak życia gospodarczego w swoich rękach — oto główny cel garstki magnatów monopolistów. W ostatnim okresie rozwoju kapitalizmu, w okresie kapitału monopolistycznego, w okresie dyktatury karteli, trustów i wielkich banków odpowiednikiem politycznym ich panowania stał się f a s z y z m. Podobnie jak w ekonomice, również w polityce, w całej jaskrawości i nagości wystąpił wsteczny barbarzyński charakter rozkładającego się kapitalizmu. Faszystowskie metody rządzenia jako ostatnia deska ratunku dla kapitału monopolistycznego stały się szczególnie konieczne i naglące w najsłabszych ogniwach łańcucha państw kapitalistycznych, tam gdzie sprzeczności doszły do zenitu, gdzie walka klasowa zaostrzyła się do ostateczności. Takim ogniwem po przegranej pierwszej wojnie światowej były przede wszystkim Niemcy. Dojście do władzy Hitlera w Niemczech stało się punktem zwrotnym w rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Wystąpiła nowa linia podziału. Przed światem w całej ostrości stanął dylemat — demokracja czy faszyzm? Cały świat podzielił się na dwa wrogie obozy: obóz reakcji, barbarzyństwa i wojny — faszyzm i obóz postępu, kultury i pokoju — demokracji. Linia podziału biegła pomiędzy państwami faszystowskimi z jednej strony i demokratycznymi z drugiej i wewnątrz każdego państwa pomiędzy siłami demokracji i faszyzmu. W skład obozu demokratycznego wchodziły państwa o różnych ustrojach, jak naprzykład Anglia, Francja i Związek Radziecki, zarówno państwa typu demokracji mieszczańskiej jak i państwa typu demokracji proletariackiej. Przy poważnych różnicach cementowało je jednak wspólne niebezpieczeństwo

zachłannego imperializmu bloku faszystowskiego, konieczność obrony pokoju, demokracji. Wewnątrz każdego państwa montował się front demokratyczny, o szerokim wachlarzu politycznym, od komunistów do bardzo umiarkowanego centrum. Wchodziły weń różne partie polityczne, reprezentujące różne klasy społeczne, od proletariatu do średniej burżuazji włącznie, partie o różnych interesach, o różnych programach politycznych. Ale przy wszystkich różnicach łączyło je wspólne niebezpieczeństwo ze strony rodzimego faszyzmu, który zagrażał interesom nie tylko proletariatu, lecz i chłopów, a nawet części burżuazji; łączyła je wspólna obrona wolności i zdobyczy demokratycznych. Naturalnym wodzem całego obozu demokracji w tej walce był proletariat. Klasa najlepiej zorganizowana, najbardziej konsekwentna, której cele w walce o demokrację sięgały najdalej, klasa, która walcząc o swe wyzwolenie, walczy równocześnie o wyzwolenie całej ludzkości od wszelkiego ucisku i niewoli. Dlatego w tej walce przeciw faszyzmowi, przeciw reakcji, w walce o demokrację proletariat mógł skupić wokół siebie najszersze masy ludowe i poprowadzić je do szturmu przeciw wspólnemu wrogowi.

Mimo woli nasuwa się analogia z okresem rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, który staraliśmy się tutaj zanalizować. Różnice jednak występują wyraźnie. Wtedy głównym wrogiem całego obozu postępu i demokracji była reakcja feudalna, dziś najdziksza, najbardziej zwierzęca forma reakcji kapitalistycznej — faszyzm. Wtedy wodzem w walce z feudalizmem, w walce o demokrację była burżuazja, dziś — proletariat. Wtedy celem walki była demokracja mieszczańska, dziś — demokracja ludowa. Walka pomiędzy obozem faszyzmu i demokracji zaostrzała się coraz bardziej, zarówno na terenie międzynarodowym, jak też wewnątrz każdego państwa. Obie strony skupiały swoje siły do decydującej rozgrywki, która nastąpić musiała. Nigdy dotąd w historii siły obydwóch obozów nie były tak potężne, rozgrywka tak decydująca, stawka tak wielka — stawka o przyszłość ludzkości. To gigantyczne starcie przybrało formy najstraszliwszej w dziejach świata wojny.

Ze strony Niemiec hitlerowskich i ich satelitów była to wojna grabieżcza, imperialistyczna — wojna o podbicie wszystkich narodów, o zakucie ich w dyby faszystowskiej niewoli; ze strony państw demokratycznych — wojna wyzwoleńcza o niepodległość, wolność, demokrację.

Z tych straszliwych zmagań, z tego czyśćca wojny i okupacji, na zgliszczach i ruinach rozbitego faszyzmu, wyłaniają

się już dziś kontury nowego świata, nowej demokracji. Dziś już kontury te występują tak wyraźnie, że możemy pokusić się o próbę charakterystyki nowego typu demokracji powojennej — d e m o k r a c j i l u d o w e j.

JAN NEPOMUCEN MILLER

O udział sztuki w całokształcie kultury

Człowieka kulturalnego od niekulturalnego różni w naszych stosunkach zwykle stopień oświaty, poziom wykształcenia. Jest to jednak sprawdzian ze wszech miar zawodny i nieścisły.

Mamy bez liku oświeconych dzikusów i kulturalnych prostaków.

Czasy nasze, nie bez racji przez André Malraux nazwane „czasami pogardy" na gruncie kultu faszystowskiego bestialstwa wytworzyły pewien specjalny, nieznany niemal w w. XIX typ barbarzyńskiego „oświeceniowca", człowieka pozornie światłego, jak pierwszy lepszy niemiecki inteligent, przekonanego zarazem najgłębiej o swoim moralnym prawie do deptania wszelkiej niższoś[illegible]j hołoty.

„Naród panów" (Herrenvolk), w jego rozumieniu, może pasożytować i znęcać się nad wszystkimi „niższymi rasami", wobec których nie obowiązują go żadne względy solidarności wszechludzkiej.

Niesłusznie spycha się zwykle odpowiedzialność na zrodzenie i powstanie tej formy „kulturalnego barbarzyństwa" wyłącznie na Nietzschego. Jest to wszak raczej nitszeanizm w ujęciu tradycji fryderycjańskiej i z punktu widzenia dzieła Fichtego „Mowy do narodu niemieckiego".

Doktryna Nietzschego była w gruncie rzeczy kultem nadczłowieka jako nowego doskonalszego typu człowieka w skali międzynarodowej, podczas gdy zarówno faszyzm włoski jak i hitleryzm doprowadził do krańcowego, samounicestwiającego rozwoju obłęd i szowinizm nacjonalistyczny.

Przed stu laty z górą poruszał tę sprawę Mickiewicz w „Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego", zastanawiając się nad istotą popularnie pojmowanej „cywilizacji", która w ujęciu powszechnym polega na dobrym bycie, gospodarności i rządności... Do cech, wyliczonych przez Mickiewicza, dodalibyśmy teraz poziom techniki i jej rozpowszechnienia, które w naszych czasach stało się cechą wyróżniającą ludy „cywilizowane".

Mickiewicz, jak wiadomo, stwierdził, że „na człowieka to nie dosyć", głosząc, że „cywilizacja prawdziwie godna człowieka musi być chrześcijańska", pojmując zresztą w tym wypadku chrześcijaństwo nie jako określone wyznanie religijne lecz cnotę, wyrażającą w poświęceniu się nie tylko za ojczyznę swoją, ale za wszystkich ludzi.

Za cechę wyróżniającą cywilizację uważał to, co stanowi istotę właściwie pojętego nowoczesnego demokratyzmu — więź międzynarodowego braterstwa, łączącego wszystkich ze wszystkimi na gruncie równych praw wszystkich ludzi do życia i wolności.

Choć rozwiązanie Mickiewiczowskie, jak na nasze stosunki, przez wysunięcie prawa narodów i pominięcie stanów i klas, jest zbyt ogólnikowe i uproszczone, daje się ono jednak rozszerzyć i zróżniczkować, nie przecząc bynajmniej temu pojęciu kultury czy cywilizacji, któremu radzibyśmy obecnie przypisać moc obowiązującą i prawo do rozpowszechnienia.

Przez **kulturę** pojmować bowiem będziemy **zespół stosunków społecznych, czynności ludzkich i rzeczy, powstałych i kształtujących się na gruncie procesu wytwórczego w danej grupie społecznej, w określonym czasie.**

Jest to oczywiście określenie od strony formy, lecz przewidujące zróżniczkowanie treściowe tego pojęcia, zależnie od potrzeb i dążeń grupy społecznej, którą w procesie wytwórczym spełnia tę lub inną rolę.

Kultura nie jest więc czymś jednolitym, jednym istniejącym poza czasem i przestrzenią, istotą metafizyczną, do której człowiek się zbliża, by się obładować cząstką tego skarbu.

Istnieje ona w człowieku, przez człowieka, który jest jej żywym wcieleniem.

Może więc istnieć kultura ludzka i narodowa, lecz może istnieć również kultura stanowa, klasowa, szlachecka i ludowa, burżuazyjna i proletariacka, zależnie od dążeń grupy społecznej, której potrzeby i interesy wyraża.

Panujący dotąd w Polsce typ kultury nosił na sobie wyraźne piętno szlacheckie. Świat prawdy, dobra i piękna ujmowano wyraźnie z punktu widzenia potrzeb i interesów szlachcica-ziemianina, w ostatnich czasach próbując te ideały kulturalne zespolić z dążeniami burżuazji mieszczańskiej, która zresztą nigdy u nas nie miała własnego grzbietu pacierzowego, dostosowując się (jak w „Rodzinie Połanieckich" Sienkiewicza) do poziomu życia i dążeń warstwy szlacheckiej.

Szerzycielką tej właśnie stanowej i klasowej kultury była cała nasza oświata i sztuka zarówno przedwojenna jak i przedniepodległościowa.

Potwierdzając więc w ten sposób wpływ klasowo zabarwionej oświaty na urabianie typu kulturalnego człowieka, chcemy podkreślić, że nie mniejszą jeśli nie większą rolę odgrywa w tym względzie sztuka.

Oświata, uświadomienie społeczne, polityczne, szerzone przez stronnictwa demokratyczne i socjalistyczne, jest samo przez się zbyt rozumowe, jednostronne i oderwane, by pozostawić trwalszy i głębszy ślad w psychice człowieka. Właściwą rolę czynnika wychowawczo-społecznego może odegrać w tym wypadku sztuka, oczywiście łącznie i we współdziałaniu z akcją oświatową.

Uświadomiona nawet społecznie robotnica nie może się opędzić sugestii „Trędowatej", której romansowo-kinematograficznym trafem omal że by się nie udało zostać „panią ordynatową" — skoro ten egzotyczny dla niej świat pseudoarystokratycznego poloru wydaje jej się piękny. Wszelka logika okaże się bezsilna wobec sugestii artystycznej tego kretyńskiego w istocie i pasożytniczego świata.

Nasze stronnictwa ludowe i socjalistyczne nie doceniały dotąd olbrzymiej roli sztuki jako narzędzia władzy określonej warstwy społecznej.

W „obiektywizmie" swoim zachodziły tak daleko, że wśród chłopstwa i robotników wbrew swoim najistotniejszym interesom i dążeniom szerzyły nawet kult dla pewnych zabytków sztuki szlachecko-burżuazyjnej, rzekomo w imię haseł pracy oświatowej, która ma być podobno apolityczna...

Kiedyż wyrośniemy nareszcie spod władzy komunałów?...

Zagadnienie upowszechnienia kultury przez oświatę i sztukę przypuszcza jednak nie tylko „odgórną" popularyzację kultury przez udostępnienie jej jak najszerszym masom.

Kiedy jak kiedy, ale teraz aż nazbyt staje się jasną i popularną prawda, że kultura nie jest żadnym wytworem oświeconej elity, lecz że powstaje wszędzie — zarówno na górze, jak i na dole, zarówno w masie, w grupach społecznych, jak i wśród jakiejś określonej elity.

Sądzimy raczej, że nawet to co się nazywa kulturą elity powstaje i rodzi się pod wpływem parcia i nacisku grupy społecznej. której dana elita staje się wyrazem.

Dlatego właściwie postawione zagadnienie upowszechnienia kultury polega wcale nie na jej popularyzacji i odgórnym oddziaływaniu na najszersze masy, lecz na wypracowaniu warunków, w których właśnie najszersze masy ludności z odbiorców kultury „odgórnej" stałyby się jej „oddolnymi" wytwórcami.

Jedną z zasadniczych podstaw tego uczynnienia psychiki zbiorowej najszerszych mas ludności jest wyzwolenie z pęt eksploatacji ekonomicznej kapitalizmu, który obezwładnia ich wolę twórczą i możność jej przejawu.

Jak to upowszechnienie kultury mogłoby się ujawnić w obrębie oddziaływania poszczególnych sztuk — w psychice zarówno twórcy jak i odbiorcy, zastanowimy się w dalszych rozważaniach poświęconych temu tematowi.

JERZY BRZĘCZKOWSKI

„Niewozwraszczeńcy" i powracający

Tak się mi składa, że powracam do dawnych wspomnień i analogii sprzed wielu lat. Może w tym wina pewnego już wieku, kiedy rzeczy dalsze wydają się zrozumialsze od bliższych. A może — wina faktów.

Historia nie powtarza się, nie wierzę w to. Ale historia ostrzega przed powtarzaniem błędów, które automatycznie pociągają za sobą nieuchronne skutki.

Widzę ludzi — nie tych samych, wszakże podobnych. I widzę fakty, nie te same, wszakże zbliżone. Fakty przeszły do historii; ludzie — nie koniecznie. Ale historia przeszła tuż obok nich. Wtedy jej nie dostrzegli. A dziś?

*

* *

Rzecz dziala się na okręcie, płynącym w pewną pamiętną dla mnie wrześniową noc, 1919 roku, przez czarne — naprawdę czarne przestrzenie Czarnego Morza z portu Noworossyjska do Stambułu, a właściwie w czarne nieprzejrzyste nieznane.

Na górnym pokładzie, rzęsiście oświetlonym, w generalskich mundurach. czarnych wieczorowych strojach, wśród negliżowego dekoltu dam i białych sylwetek elastycznych ste-

wardów leżakowała, spacerowała, hałasowała półpijana białogwardyjska „elita”. Na dolnym, wśród pak z towarami, na zwojach zardzewiałych łańcuchów kotwicznych i przesmolonych lin nerwowo drzemała, lub cicho gwarzyła stłoczona gromada reemigrantów polskich.

My jechaliśmy do Kraju, zorganizowani doraźnie nieumiejętną jeszcze ręką pierwszych polskich samozwańczych „przedstawicielstw” i niechętną, obelżywą łaskawością zobojętniałych władz Dobrarmii, — oni, elita, wyjeżdżali zdezorganizowani z kraju: jeden z pierwszych transportów szczurów uciekających z tonącego okrętu swej przeszłości.

My nie znaliśmy Kraju, młodzież urodzona z ojców-wygnańców, z Kaukazu, Turkiestanu, Sybiru; Kraju, który jak potężny magnes ściągał okruchy i ostrużyny polskości z całej kuli ziemskiej. Kraju — Ziemi Obiecanej, wyłaniającej się z niebytu paru wieków niewoli, z chaosu Wielkiej Wojny i wielkich przemian.

Oni znali swój kraj, pogrążający się, ich zdaniem, w odmęt, wystraszeni groźnie wzniesionym palcem Nemezis dziejowej, wyrzuceni pienistym oddennym wirem, którego głębię mierzyli jedynie płycizną własnego zanurzenia.

Jechali „na tymczasem”, nie wiedząc, że wyjeżdżają na zawsze. Byli to bowiem — jeszcze nie ochrzczeni tym słowem — „niewozwraszczeńcy”. Nie słyszeli w szumie śruby okrętowej, odbijającej rytmicznie mijane węzły przestrzeni morskiej, pękających węzłów nici, które łączą każdego człowieka z jego krajem. Na razie grali w brydża, winta lub preferansa — wedle wieku, tradycji i urzędu — grali na grube dolarowe banknoty i „familijne” złoto, stawiając wszyscy zresztą na jedną jedyną stawkę, jaka im pozostała — na katastrofę własnej ojczyzny! To była bowiem ich jedyna szansa powrotu do przeszłości, już niestety nieodwracalnej.

Gotowi stanąć przy boku każdego, kto podniesie żagiew i miecz przeciw sile, która ich wyrzuciła za burtę, ofiarować całą znajomość słabizn swego kraju temu, kto w te słabizny zechce uderzyć, ofiarować swoją nienawiść do zjawisk przerastających ich pojęcie o gładziźnie rzeczy codziennych, przedtem tak wspaniale — i tak wygodnie dla nich ustabilizowanych.

Noc była wrześniowa, parna. Na bliskiej, napierającej na statek czerni zlanego z nieprzejrzystym morzem nieprzeniknionego nieba połyskiwały zielone zygzaki błyskawic, jak ostrzegawcze mrugnięcia.

Górny pokład bił światłami w czerń, odpychał ją, walczył. Obślizgiwała się z burt, by znów uczepić się dzioba i rufy, spod której biegła dróżka fosforyzującej, skotłowanej jaśni, ginąca natychmiast w mroku — droga przebyta; dla nas i dla nich niepowrotna. Piszczały rozegzione głosy kobiece, rżał jurnymi akordami fortepian. I nagle ktoś zanucił wysokim zrywającym się tenorkiem cygańską piosenkę o gasnącym we mgle ognisku. I wszyscy zacichli. Słychać było tylko plusk śruby rytmicznie odbijającej takt oddalenia. Zdawało się, wszystko przeniknął ten jednostajny rytm: dygot obluźnionych drabin i ciche dzwonienie mosiężnych okuć, kłacanie drewnianych kołatek na wantach, skrzypienie rei. Nas samych.

Przed świtem już zadrzemałem na zwoju pachnących rozegrzanym smołowcem lin na rufie. Uporczywie dźwięczały w uszach też same słowa piosenki. We mgle gdzieś zostało i moje ognisko — moje 20 lat młodości. I przede mną była mgła — ale była to już mgła różowego przedświtu.

W tem w przetartym już nieco mroku zamajaczyła czyjaś wysoka, przygarbiona sylwetka. Czy złudzenie? Tenże sam głos nucił słowa cygańskiego romansu. Nucił zapatrzony w perłowo srebrzystą smugę fosforyzującej jaśni za burtą, oparłszy się barkami o poręcz. Szary porucznikowski szynel spływał do ziemi.

— Pan wraca do domu? — przemówił, jakby kontynuując przerwaną rozmowę.

— Właściwie... jeszcze go nie znam, ale do kraju.

Mruczał dalej swoją piosenkę, jakby już o mnie zapomniał, wciąż zapatrzony w mleczną drogę za rufą.

— Do kraju? — podchwycił nagle. — A cóż to jest „kraj”? Kawałek ziemi, obsadzony przez jakieś tam władze. — Mówił coraz głośniej, chrapliwiej. Zatoczył się. — A cóż to jest „dom”? Cztery ściany. Gwiżdżę!

Splunął przez zęby za burtę.

— Nostalgia! Głupia choroba egzotycznych małp i papug. Od tego ludzie nie giną. No... zaśmiał się ostro — czasami piją!

Obejrzał się za siebie w kierunku dzioba:

— Przede mną, widzi pan — horyzonty! A tam...

Tknął palcem w uciekającą jaśń za rufą.

— ...kawałek ziemi, obsadzony przez jakąś tam władzę, dla pana obecnie wrogą — przerwałem.

Może za dużo włożyłem sarkazmu. Przyjrzał mi się z pijacką uwagą, czknął i znów odwrócił się ku rufie. Szerokimi barkami przywarł do poręczy.

Było mi to w gruncie rzeczy obojętne. Zaczynałem na nowo drzemać. Rytm oddalenia był przecież dla mnie również rytmem przybliżenia.

Szturchnął mnie lekko w ramię.

— Pan śpi, przepraszam. Ale wie pan, to coś nie tak — mamrotał. — Tam nie tylko kawałek ziemi i ta władza... no, bolszewicka. Tam... znów głupie, „kazionne” słowo: ojczyzna. Daleko. I mój dom. Daleko... Były 4 lata wojny w obcych stronach. Myślałem: żyw będę, powrócę. Potem 2 lata rewolucji. Myślałem w polu — bo ja walczyłem, panie! Nie tak jak tamci — machnął ku górze długą w promieniu perlistego światła ręką — myślałem, powrócę. Do domu — — —

Uczynił znowu ruch dłonią nagle naświetloną smugą światła — jakby komuś ją podawał, a potem cofnął, odciętą mrokiem.

— ...i właśnie już go niema — dokończył odwracając się, przyciągnięty magnesem uciekającej jaśni za rufą.

Wzeszło już pełne słońce. Za rufą skotłowana jaśń stała się purpurową strugą. Lśniły białe, nadbiegające pod dziób grzywacze. Porucznik trwał przywarty ramionami do poręczy rufy. I raptem wyciągnął ręce przed siebie, zsunął się, jak tłomok za burtę i z cichym, zagłuszonym śrubą pluśnięciem pogrążył się w purpurowej drodze, uciekającej wstecz ku niewidocznym brzegom.

*

* *

Huragan znowu przeszedł nad nami, rozrzucając po całej kuli ziemskiej ostrużyny i opiłki polskości. Ale kadłub okrętu pozostał.

Przetrwał wszystkie sztormy w czarną noc.

Oparł się pogruchotanymi masztami.

Stoi na mocnej kotwicy, na głębokiej wodzie.

Podnosi białe żagle o różowym świcie nowego dnia.

Kto wypadł za burtę, niech podpływa. Boje w wyciągniętą rękę rzucimy.

Niech nie będzie w Polsce „niewozwraszczeńców”. Wiecznym tułaczem być gorzko! Niech nie będzie „ludzi za burtą”, z nienawiścią czekających na nowy sztormowy wicher, któryby przez zdruzgotane burty ich własnego okrętu z powrotem przerzucił ich na „kapitański mostek”.

Rzeczpospolita ma w tej chwili otwarte ramiona.

Ale później może je zamknąć.

EDWARD KOZIKOWSKI

Stuleciami

Obywatele!
Śpieszący do warsztatów z blaszanką w kieszeni —
w pięciu, czy w sześciu,
patrzcie, patrzcie!
Od Placu Karuzeli, spod murów Bastylii —
krok w krok: idzie przed wami,
jak słońce w porannych oparach,
on — Marat.

I tak was oprowadza po wszystkich chodnikach,
jak stary towarzysz
z dziejowych marzeń,
dając spoza grobu jeszcze przykład
tej wytrwałej i żmudnej wędrówki
po drogach niezliczonych ofiar i poświęceń.
Tę pierś zresztą zdobił nie order Ludwika,
lecz miłość ludu
i nic więcej.

— — — — — — — — —

I wy, obywatele...
spoza rolet
i, mówiąc najtrywialniej —
z tych ciepłych sypialni,
gdzie noc za nocą schodzi
najspokojniej co dzień, —
kiedy tam — za oknami, jakieś nowe prawa
lud postanawia
i krew rozlewa hojnie
na barykadach, jak na wojnie.

Obywatele! Nie wiem z jakiego tytułu, —
Obywatele! Powtarzam dwa razy, —
unikajcie wanien i łazienek,
jak ognia i morowej zarazy,
bo w takiej wannie żelaznej, nieemaliowanej
zginął, kuchennym nożem przebity,

jak widmo Cezara —
na chwałę Rzeczypospolitej:
on — Marat!

Nie odkręcajcie kurków z napisem: „gorąca",
bo z tych kranów wam tryśnie
czerwona, jak wiśnie,
krew Marata.

Na wasze białe ciała, spowite w pyjamy,
na meble, na pokoje,
po schodach popłynie
czerwonym zdrojem —
po rynsztokach i po bruku,
wszędzie
was dosięgnie
w godzinę cudu —
ta krew, krew przyjaciela ludu.

— — — — — — — — —

Obywatelskim marszem,
a może jeszcze innym
(nic nie szkodzi!):
raz — dwa, raz — dwa,
pod balkonami —
i ten sztandar czerwony, jak pożar, przed nami.

Lud i żołnierze — wszystko razem —
spojone ogniem i żelazem,
zawsze czwórkami, w takiej zgodzie,
której śmierć tylko tu przewodzi —
i ten generał w krwi purpurze,
nie od parad,
jak wyłom cegieł w murze:
on — Marat!

Obywatele! Z blaszankami w kieszeni..
Dziejów ludzkości nic nie zmieni,
ani sprowadzi z dróg
tego biegu odwiecznych przemian,
które przechodzi ziemia —
nawet Bóg!

I dlatego lepiej zapytajcie portowego tragarza
z ulicy Świętego Łazarza,
czy nie przechodził tamtędy — po zbutwiałych deskach
stąpając z niemałym trudem —
przyjaciel ludu?
N-i-e!
J-e-s-z-c-z-e n-i-e p-r-z-e-c-h-o-d-z-i-ł...

SERGIUSZ JESIENIN

*
* *

Dość włóczęgi, błądzeń wśród burzanów,
Już lebiodą porósł kroków ślad,
Wraz ze snopem włosów twych owsianych
Sen prześniłem bezpowrotnych lat.

Z malin jasnym na policzkach sokiem
Śliczna i promienna byłaś tak
Jak różane zachodu obłoki
I jak śniegu świetlistość i blask.

Ziarna źrenic osypały się, rozwiały,
Dźwięczne imię rozpłynęło się jak ton,
Został jeno w zmiętych fałdach szala
Zapach miodu twych niewinnych rąk.

Kiedy zorza na dachu w czas ciszy,
Niby kociak, łapką myje skroń,
Drżącej wody szept o tobie słyszę,
Gdy dziergana wiatrem pluszcze toń.

Niech tam szepcze sobie wieczór modry,
Żeś piosenką tylko była i snem,
Toć kto zmyślił gibkość ramion twych i bioder,
Ten do cudu zbliżył usta swe.

Dość włóczęgi, błądzeń wśród burzanów,
Już lebiodą porósł kroków ślad,
Wraz ze snopem włosów twych owsianych
Sen prześniłem bezpowrotnych lat.

Przełożył **Marian Toporowski.**

JAN WIKTOR

Z pamiętnika

...Wyprzedziła nas osobówka, wioząca znamienitych dyrektorów podhalańskiej spółdzielni. My, szary plebs, podążaliśmy za nimi na ciężarówce, mocno rozklekotanej, dychawicznej, kaszlącej kopciem, podobnej do starej bajczarki, latającej po wsi i gadającej bez ustanku o wszystkim, co się dzieje po wszystkich domach.

Dzień 1 listopada był dżdżysty i smutny.

Ze spowić mokrej mgły wyłaniały się zarysy zabudowań, ogołoconych drzew. Czasem na cmentarzach, przytajonych w zaroślach obok drogi, wybłysły niewyraźne świeczki, jakby zwiewne duchy płomyków, pogubionych po zrudziałej trawie, między kępami gałązek i łodyg, to postacie klęczące na mogiłach obok wieńców z jedliny, jakby nie żywi ludzie, ale widma, które wypełnią dzisiejszy obrzęd i znikną.

Dotarliśmy do pierwszych domów miasteczka, gdy spoza narożnika kamieniczki wypadła osobówka w bryzgach błota i ochrypłych sygnałach. Z otwartego okna krzyk i wyciągnięte, przerażone ramię dawało znaki, aby dalej nie jechać.

— Niebezpieczeństwo!

Zahamowane auto wryło się opodal w ziemię, w kałużę, dygotało ze zniecierpliwienia, gotowe do jazdy. Z trzaskiem odwaliły się wypchnięte drzwi.

Wybiegliśmy ku sobie z pytaniem.

— Co się stało?

— Nieszczęście. Musimy wracać.

— Znów jakieś plotki.

— Strzelanina. Pacyfikacja. Gruszowiec w płomieniach.

— Może walka z partyzantami?

— Nie wiemy. Zobaczyliśmy z daleka pożar. Ktoś z przechodniów przestrzegł nas i dlatego czym prędzej wracamy.

— Co z naszą miejscowością?

— Zapytajmy kraczącej wrony, to może udzieli nam pewniejszej wiadomości. Może więcej wie, niż my. Wstąpmy na pocztę, tam chyba zdobędziemy telefoniczne połączenie.

Wtem, spomiędzy domów, gwałtownie, w całym pędzie, wyłoniło się wielkie, otwarte auto, jakby zdruzgotało napotkane mury i w grzmotach motoru pędziło dalej. Żołnierze w mundurach, z karabinami przy nogach. Spomiędzy łoskotów i sygnałów chlusło śpiewanie, wytupane, wykrzyczane.

Miechowa harmonia rżnęła piosenki od ucha, cholernie, a wtórzyły jej i przeplatały melodie ustnej harmonijki, które nauczyły się swej skoczności w odpustowych kramach i teraz przemykały przez burzliwe granię, podobne do ruchliwej łódki tkackiej. Wściekła wesołość, radosne wołania. Tak wracają pijani weselnicy. Rozwaleni kiwali ku nam rękami. Niektórzy odjęli od warg harmoniki i ryczeli huha! huha! huha!

Staliśmy zmartwiali. Po naszych piersiach chyba czołg się przetoczył z muzyką, ze śpiewami w stalowych pyskach i zmiażdżył nasze życie.

— To oni — ktoś wyrzekł zbielałym głosem. — Już dokonało się tam... Oni...

Z pijackich wrzasków buchał opar krwi, ohyda zbrodni.

— Wracają po skończonej pracy, po dokonaniu mordu, jak z majówki. Możemy jechać.

Siedliśmy bez słowa. Auto szarpnięte usiłowało się wyrwać z tego miejsca. Nie mogło się jednak ruszyć, jakby przywalone stertami trupów i zgliszcz. Koła zaryły się chyba w popiołach, w rękach i ranach. Wreszcie wytoczyło się i drżąc z przerażenia posuwało się powoli. Po co się spieszyć? Dokąd? Naprzeciw nieszczęściu? Aby grozę napotkać?

Mijamy wioskę. Znać było, że mieszkańcy co dopiero ją opuścili. Domy otwarte ziały czarną pustką. Na obejściu i ścieżkach resztki mienia w pośpiechu porzuconego. Na uboczu skupiona gromadka stała, którą rozmiótł warkot motoru.

— Jezusie, niemcy jadą.

Rozpierzchli się w popłochu. Migały bose stopy i ginęły poza krzewami. Czasem spoza węgła ukazywały się rozczochrane głowy, zaciśnięta pięść, wyrwana ze zrębu, oczy struchlałe, albo podobne do dwóch pocisków, napełnionych nienawiścią. Przysiądz by można, że w rozchylonych ustach — jak granat gotowy do rzutu — tkwi groźba.

— Czekajcie dranie... jeszcze wy... jeszcze wy...

Znów ukazało się kilka zagród. Przelęknione baby wynosiły z chat sprzęty, wydzierały z boisk graty gospodarskie, spuszczały z łańcucha krowy, a dzieciska je zaganiały. Wśród stada kur stał kogut z zadartym dziobem i po swojemu piał na przekór ludzkim obawom, ogłaszał sobie znane zwycięstwo wszystkim na niebie i ziemi. Wrzask drobiu. Ryk bydła. Kłębowisko pośpiechu. Wirowisko różnych spraw. Tylko ludzie krzątali się w milczeniu, jakby te duchy wypełniały ostatnie obowiązki przed zachodem dzisiejszego dnia. Na miedzach, na ścieżkach, widać było zgarbione postacie, dźwigające uratowany dobytek. Szare cienie, wynikłe z przemoczonej ziemi, za-

słaniające się mgłą, aby w niej przepaść na zawsze. Mężczyzn zupełnie nie było widać. Zapewne uciekli do lasu. Chwyciliśmy starucha, modlącego się pustymi wargami, pod drzewem.

— Co się tam stało — wskazywaliśmy stronę, skąd buchały płomienie.

— Nie wiem, panowie. Co chcecie odemnie — zatrząsł się. Boga chwalę. Paciorki mówię.

— Myśmy nie od wroga. Ze złem nie przychodzimy.

— Sami widzicie. Gruszowiec się pali. Niby odjechali. Na pijaństwo. Tak zawdy u nich bywa. Wrócą. A wtedy... Jezu Miłosierny.

Płonęło niewielkie osiedle, ciągnące się wzdłuż gościńca dwoma szeregami domów. Pożar objął wszystko, co było z drzewa. Zabudowania zmieniły się w stosy oblane płomieniami. Z rozchwianych płomieni wysterczały zarysy kominów, jakby ramiona, odarte z ciała, grożące niebiosom, teraz okrwawionym łuną. Nie było mowy o jakimkolwiek ratunku. Zresztą nigdzie nie widać człowieka, nigdzie żywych rąk. Wioska skazana na śmierć.

Oczy nasze przebiegały po opustoszałej równinie w nadziei, że może przecież, wbrew wszelkim przypuszczeniom, ktoś ukaże się z konwią, że wybłyśnie strumień wody, chluśnięty w pożogę, że zaczerni się osęka, rozdzierająca zręby chat. Przecież w zgiełku wołań o ratunek i skamlących modlitw kobiety powinny obnosić obrazy i rzucać w ognistą czeluść okruszyny soli, święconej przez św. Agatę.

Staliśmy obok bezradni i bezsilni.

Czasem wybuchnął płomień, sięgał wysoko, jakby chlust krwi w oblicze Boga z ust człowieka, śmiertelnie zranionego. Opodal, w zgęstniałych, czarnych kłębach dymu, jakby w całunach, wzdrygały się sterty zgliszcz. Coś w nich jęczało, jakby w grobach żywcem zakopanych.

Bezwiednie zdjęliśmy czapki, pochyliliśmy głowy w pokłonie czci. Niektóre ręce uniosły się do czoła, aby nakreślić znak krzyża, niektóre wargi usiłowały wyszeptać modlitwę, zapewne nikomu niepotrzebną. Nie mogliśmy stąd odjechać. Szliśmy w milczeniu piechotą, podobni do uczestników orszaku pogrzebowego, dźwigającego trumny. Mijane zgorzeliska wydawały żałosne, do głębi przejmujące głosy. To nie cegły, rumowiska, to nie kopce żaru, ale pogrzebani ludzie z ognistych podziemi błagają i żalą się umęczonymi głosami. Mieć możność i wejść w gorejące morze, zagłębić się w nie, ciszyć i koić daremne wołania.

— Głupiec jesteś — pomyślałem. — Przecież to zwyczaj-

ny pożar, ty zaś uczłowieczasz go i ślamazarzysz się sentymentalnie.

Bydło stało uwiązane przy płocie. Konie wałęsały się po zrudziałej łączce. Kury, odpędzone od domostw, stały skupione w stadzie, wykręcając głowy na wszystkie strony. Niektóre z nich wspięły się z trzepotem na gałęzie. Tylko kogut łaził osamotniony i szukał czegoś zgubionego.

Podbiegliśmy, gdyż dostrzegliśmy kształt ludzki, obejmujący brzozę, która drżała konarami, chwiała się, szamotała z wiatrem, jakby usiłowała wyrwać się stąd i uciekać. Kilkunastoletni chłopak łkał.

— O Jezu! o Jezu! zabili! zatłukli! wypalili!

— Co się tutaj stało? — zapytaliśmy wszyscy niemal równocześnie.

Wyrostek ocknął się, zadygotał łachmanami, spojrzał na nas przytomnie. Wytrzeszczył przerażone oczy i z piskiem okaleczonego ptaka rzucił się do ucieczki. Zastąpiliśmy mu drogę i zatrzymali.

— Czego się boisz?

— Nie zabijcie mnie — wrzasnął.

— Dlaczego? Powiedz! Dlaczego mielibyśmy ciebie zabijać?

— To wyście... Jezu — Jezu — powtarzał dygocąc. — Przyjechali, zatłukli, podpalili.

— Uspokój się. Nikt z nas cię nie skrzywdzi. Tamci już nie wrócą. Cicho.

— Co ja teraz będę robił. Tata i mama i wszyscy... Mamo! mamo! — znów się wyrwał i usiłował pognać z wołaniem w stronę pożaru.

— Co chcesz? Dokąd pędzisz? — objąłem, mocno przytuliłem szlochającego i szorstką dłonią gładziłem mokrą twarz chłopaka

Wreszcie uspokoił się nieco i zaczął opowiadać urywanym głosem o tym, co się stało. Przed paru dniami przejeżdżało tędy wojskowe auto. Z pobliskiego lasu padły strzały. Rozpoczęła się strzelanina, w czasie której odniósł rany podoficer. Za to dzisiaj otoczyli osiedle i nastąpił zwyczajny porządek, niczym nie różniący się od innych. Kto uciekał — strzelali. Kogoś wydarli z domu i pod ścianę. Nie wielu. O tam — tam leżą. Nie widać ich, bo ogień ich ukrył. Innych wpychali kolbami do sieni. Zatrzaskiwali drzwi, zakładali skoble, aby nikt nie mógł wymknąć się. Przez okna ciskali granaty do wnętrza. Wśród wybuchów, w łoskocie pocisków, płonęły domy

skowyczące modlitwami do Boga o zmiłowanie, wyjące nabożnemi pieśniami i wijące się w męczarniach.

— Już odjechali, ale mówili, że wrócą.

Uczestników owej ekspedycji spotkaliśmy po drodze. Po dokonaniu nakazanego dzieła, jechali ze śpiewem swawolnym, z płochą muzyczką, jakby z beztroskiej wycieczki, przeplecionej wesołymi przygodami.

— Pożoga jest mogiłą — ktoś wyrzekł, jakby nad zbiorową trumną.

— Pódźcie za mną, pódźcie za mną, bo jo sie boje — wyrostek chwycił mnie kurczowo za rękę i ciągnął wzdłuż płonących domów. Tam tata leżą. Szkielety opalonych drzew skwierczały. Popękana kora odpadała płatami. Topole, jesiony jęczały wszystkimi gałęziami i płakały resztką otrząsanych liści, trzepotających jeszcze gdzieniegdzie na wierzchołku.

W rowie leżał starszy mężczyzna. Zastygający zewłok w kałuży. Zapewne w ucieczce kula go dosięgła i cisnęła na łacheć ziemi, jak na brudną płachtę.

Na sąsiednim zagonie krasula, obojętna na sprawy tego świata, szczypała jesienną, postną trawę. Powróz, zapewne niedawno wypuszczony z czyjejś ręki, wlókł się po zmoczonych grudach i źdźbłach. Za chwilę, ukazała się postać dziewczyny, podobnej do skiby wyoranej i złożonej na całunie zczerniałego ścierniska, pokropionego drobnymi kwiatkami z bieli i czerwieni.

Bosa, obdarta pasterka upadła. Zapewne szarpnięta przez krowę wypuściła postronek i już nie zdołała go pochwycić. Teraz chce biec, aby zatrzymać, bo matka ją ukarze. Biedactwo daremnie się trudzi. Z ośm lat liczy. Nie więcej. Może to sierota, przyjęta z łaski do pasienia za łyżkę lichej strawy, za koszulę i chodaki. Obok leżała kupka, pozszywana z kolorowych gałganów, które dla niej może były zaklętą królewną, objawieniem, cudem piękności z zaczarowanego świata bajek. Zapewne bawiła się tą lalką, strojąc ją w szmatki. Teraz odtworzyliśmy sobie zdarzenie, jakie się rozegrało przed godziną. Kiedy zobaczyła żołnierzy, wypuściła krowę i chciała uciekać. Kula ścięła ją, poderwała spod nóg ziemię i rzuciła w bruzdę. Upadła z rękami, podanemi naprzód. Obok otworzone pudełko - skarbiec z kolorowymi strzępami i kromka suchego chleba. Miałem wrażenie, że dzieciak chce przygarnąć swoją najmilszą zabawkę i uchronić ją przed zimnem i deszczem. Jeszcze chwila a pochwycą. A może boi się do-

tknąć, aby nie urazić, krzywdy nie uczynić. Po śmierci jeszcze się mozoli, chociaż nigdy nie posiędzie utraconego skarbu.

Lalka, maszkara zmiętoszona, brudna, leżała wzgardzona, nikomu niepotrzebna.

Z przemoczonych chmur, nisko obwisłych, wyłoniło się stado wron, zatoczyły koło, opadały, jakby chciały znieść czarny całun na leżącą, któraś zakrakała, może po swojemu wyrzekła żałosne słowo. Rozlegał się szum skrzydeł, żałosne głosy i utonęły w gęstej mgle.

Pochyliłem się nad dzieckiem, chcąc ogrzać ziębnięte rączęta, wetknąć zabawkę. Niechże się raduje swoim szczęściem w trumnie. Wtedy zobaczyłem drobną twarz. Między powiekami zastygłą łzę. Dziewczynka usiłowała coś powiedzieć, o coś prosić. Na wargach trwało umarłe słowo, jakby motyl, który już nie miał sił odlecieć z drobnego kielicha polnej róży.

— O zbrodniarko! — musiałaś zginąć, boś była niebezpieczna dla wielkiego państwa morderców, bo mogłaś swoim życiem, swoim uśmiechem, podważyć ich potęgę. Ja bym kawał ziemi wyrąbał razem z zastrzelonym dzieckiem, lalką, gałgankami, kromką chleba, i jakby na marach wyniósłbym przed oblicze świata, niech oskarża, pod sąd wzywa ludzką bestię.

Krowa zbliżała się do leżącej, zagarniając mlaszczącym ozorem kępki trawy. Trąciła ciało, może chciała obudzić pasterkę i wezwać ją do zejścia z pola, bo czas wracać do domu. Znieruchomiała. Nozdrzami fuknęła i odskoczyła gwałtownie. Wtedy racicami wdeptała lalkę w błoto. Jak to dobrze, że dziecko tego nie zobaczyło, boby wybuchnęło nieutulonym płaczem.

— Jedźmy dalej! — ktoś spośród nas krzyknął.

Prędko, co sił uciekać. Ani chwili nie zostać. Motor zahuczał. Auto pomknęło z wściekłością, waląc po drodze łoskotami stu karabinów maszynowych. Zamknąłem oczy. Palce umarłej dziewczynki przycisnęły moje powieki, kryjące obrazy dzisiejsze, abym nigdy, nigdy nie mógł ich otworzyć.

Gdyśmy docierali do naszych domów, łuna wypełniła noc. Gwiazdy przepadły w przepaściach nieba, zbroczonego czerwienią. Chyba krew całego świata, mordowanego przez człowieka, została wzięta w przestworza.

Mieszkańcy tych okolic, w dalekim zasięgu, przez długi czas podobnoć słyszeli skowyt tak przerażający, że truchleli od grozy i bezwiednie wymawiali zaklęcia, wzywając pomocy bożej. To ludzkie głosy, palone żywcem, zatrzęsły pożarem,

rozrywały sterty rumowiska, żaru, rozrzucały je i wzbijały się w wyżyny, zmienione w potoki płomieni.

Po kilku dniach, kiedy ostygły zgliszcza, żyjące ręce rozgrzebały popiół i wydobyły szczątki, rozdzielając osobno małe kości, osobno wielkie i zamknęły w trumnach, zbitych z prostych desek. Ksiądz poświęcił, pokropił nakazanymi modlitwami i sprawił pogrzeb, według swego obrządku, w którym tyle płaczu, czerni i trzepotu. Zamilkły tłum dźwignął ciężar umarłych i poniósł na cmentarz we wtórze pieśni, które wyłkały wieki bólu ludzkiego i rozpaczy, które wzięły w siebie wszystkie łzy. To drzewa, skiby zagonów, podmuchy listopadowe, lecące z lasów i pól, poruszone cierpieniem, ożyły i razem z ludźmi śpiewały. Powoli posuwał się żałobny pochód. Zdawało mi się, że pieśń, opłakująca śmierć ojców i matek, dzieci, uczłowieczyła się i niesie na swoich barkach trumny, a wiatr jesienny, spadły z nieba, spoczął na wiekach i łka i jęczy nieutulenie, aż deski poruszone dygocą od głosów zamordowanych, aż perlą się kroplami wyciekającej żywicy, może łzami, wylewanymi po śmierci

Sterta piszczeli. Trzydzieści sześć czaszek... I owa dziewczynka z lalką, kromką suchego chleba. Położyli jej to do trumny. Razem pochowali.

Nie mogę spokojnie tędy przejść, bo wciąż słyszę tamte głosy, bo wciąż zagradza mi drogę obraz leżącej pasterki, wyciągającej rękę w daremnym trudzie po lalkę. Groza niczym nie wysłowiona, a zatajona w powiewach, w powietrzu, w słońcu, w grudach ziemi wypełnia przestwór.

Nieujawniony dreszcz wstrząsa stertami zgliszcz. Nigdy nie mogę się pozbyć wrażenia, że ktoś się szamoce pod zwałami zwęglonych belek i rumowisk, że ktoś się wije, miota w męczarniach agonii.

Jak zasłonić, jak zagłuszyć jęczące sterty?

One zapadną w głębie ziemi i będą wstrząsać każdą jej bryłą, kryjącą pulsy serc i będą wołać, przypominać, oskarżać i potępiać:

— Z b r o d n i a r z e!

Tutaj spokój grobowy. Nie słychać najniklejszego szeptu, ani życia nie widać. Tylko na tle ponurego nieba czarne zgorzelisko, grożące przestworzom, chmurom, gwiazdom, wschodom i zachodom czerwonymi kominami, jakby ramionami, odartymi ze skóry.

Kłębowisko wron przelatuje nad pogorzeliskiem, znika w chmurach, wyłania się opodal, otacza krzyż, wysterczający wśród spalonych drzew, jakby każdy ptak z osobna chciał

zawiesić czarny wieniec i zasłonić nim rany od ciosów człowieka i żaru ognia. Rozlega się krakanie, modlitwy wron do Chrystusa nędznego, pokrwawionego, bezsilnego w swym cierpieniu od swego poczęcia w pniu lipowym, z głową omdlewającą daremnie pod ciężarem korony cierniowej.

Żyjący człowiek milknie. Nie wolno przemówić, aby nawet szeptem ciszy nie zranić, krokiem nie nadeptać, ani spojrzeniem zgliszcz nie skaleczyć, bo zatajone głosy umęczonych i umarłych obudzą się, zajękną i zakrzyczą, a rany, ukryte w popiołach, otworzą się i zaczną krwawić. — Milcz!

HELENA BOGUSZEWSKA

To niemożliwe

Anielka była blada, drobna, jasna, ciągle się wierciła, łatwo płakała i przerażała się, a śmiała się tak, że się nie mogła uspokoić. Genia wyższa była od niej, wogóle cała większa i ciemniejsza, i tak jak jej matka wielka i tęga pani Goldmanowa, miała zawsze rumieńce na spokojnej twarzy. Kiedy tak spacerowały razem przed szkołą, albo szły na błonie za miasto w stronę rzeki, koleżanki mówiły o Geni, że wcale nie wygląda na żydówkę, że już nawet prędzej o Anielce można by tak powiedzieć, choć jest stuprocentową aryjką.

Anielka zaśmiewała się po swojemu. Niewiadomo czemu, bawiło to słowo „aryjka". Genia tylko uśmiechała się i mówiła „to niemożliwe". W ogóle często tak mówiła w różnych okolicznościach. Na przykład, kiedy się miało stać coś strasznego, co przerażało Anielkę, albo kiedy mówiono o kimś, że zrobił coś złego — po prostu nie wierzyła.

I teraz kiedy zaczęto mówić w miasteczku, że żydów mają Niemcy wysiedlić na Stary Rynek, pomiędzy ulicą Lipową — 3-go Maja, i że nie wolno im będzie wychodzić za druty, Anielka bardzo się tym przejęła, a Genia tylko powiedziała krótko „to niemożliwe" i zebrała się do wypracowania „Kim chcę być, kiedy dorosnę".

— Dlaczego niemożliwe? — dopytywała zaniepokojona Anielka i może z tego niepokoju wcale nie mogła nic wymyślić kim chce być, jak dorośnie. Genia wiedziała. Chce być dentystką, tak jak jej matka, ale z dyplomem lekarskim, taką, co „pisze" na szyldzie: lekarz dentysta, — a co do tego Ghetta, to nie może być, żeby niewinnych ludzi wsadzano za druty.

Zresztą słyszała jak rozmawiali u matki w gabinecie. — A co rozmawiali? — dopytywała Anielka i nagle przyszło jej do głowy, że ona też będzie lekarką, ale od leczenia dzieci. Uspokoiła się od tej myśli. Bardzo lubiła dzieci. Albo może lepiej wychowawczynią? — Co mówili w gabinecie — pytała znowu, ale już weselej. No właśnie to. Że niemożliwe!

I rzeczywiście: czas upływał, a żydów nikt nie zamykał do Ghetta.

Chodzili dalej i handlowali, a tęga rumiana pani Goldmanowa leczyła zęby matkom koleżanek Geni. I wszystkie matki mówiły, że nikt lepiej nie rwie i nie plombuje zębów jak pani Goldmanowa, a na zapłatę nieraz cierpliwie czeka. Ludzie w miasteczku mniej już mówili o wojnie, a więcej o handlu i o cenach. Kto miał uszkodzony od bomby dom, to sobie odbudował, kobiety jeździły z nabiałem do Warszawy i nieźle zarabiały, choć czasem Niemcy odbierali im towar. Zimowe dnie szły jasno i mroźno, dziewczynki chodziły po Nowym Rynku. Niemcy w hełmach stali nieruchomo przy poczcie i na posterunku i koło komendy miasta i wyglądali jakby w ogóle nie patrzyli na przechodniów.

— Ci Niemcy to nie tacy źli — powiedziała raz Wanda Kwiatkowska. Matka jej miała sklepik, do którego nieraz zachodzili Niemcy — nie tacy źli — chciała mówić dalej, ale koleżanki zakrzyczały ją, że dziś znowu za Kozią Górką zastrzelili dwóch mężczyzn, którzy nieśli worki z mąką. Najgłośniej gadała na Niemców Anielka. A Genia powiedziała, że to niemożliwe.

— Jakto niemożliwe — krzyknęła Kasperkówna z 6-tej klasy — to może i to niemożliwe, że żydom zabronią handlować i że każdy żyd będzie nosił gwiazdę na rękawie? Zobaczymy! Mój tatuś mówił wczoraj.

Istotnie — nazajutrz już całe też miasto o tym mówiło. I jeszcze to, że na żydowskich domach i sklepach mają być gwiazdy. W gabinecie pani Goldman zawrzało od gadania, od domysłów, od strachów. — Co pani myśli, pani Goldman, naprawdę może być źle z żydami?

— To niemożliwe — odpowiedziała spokojnie rumiana, łagodna pani Goldman. U mnie leczy ząb jeden Niemiec, wie pani, ten wachmistrz Majer. Założyłam mu prowizoryczną plombę.

— Widzisz, mówiłam ci, że niemożliwe — mówiła Genia do Anielki. Ale nazajutrz nie przyszła do szkoły. Całe miasto mówiło już o tym, co Niemcy wyrabiają z żydami. Każą im się wynosić z domów, zamykają sklepy.

Genia przyszła do Anielki przed wieczorem. Zmierzch był przejrzysty, jakby już wiosenny. Genia miała oczy rozszerzone ze zdumienia. Opowiadała, że przyszli żandarmi, zabrali matce narzędzia, cały warsztat pracy, opieczętowali gabinet, kazali się zaraz wynosić z mieszkania, i tylko na wielkie prośby dali trzy dni czasu. Nie pomógł wachmistrz Majer, który zamiast prowizorycznej plomby miał już stałą. I twarz miał inną, niż dawniej, kiedy przychodził do gabinetu. Twarz miał teraz groźną, złą, niepatrzące oczy. Jakby włożył maskę...

Pani Goldmanowa przeniosła się z Genią i małą walizeczką do starych Goldmanów na Kozią Górkę. Ale nie rozpaczała, nie opuszczała rąk, przecież to niemożliwe, żeby jej odebrali ten warsztat pracy, i mieszkanie i meble i wszystko... na pewno za parę tygodni powróci do domu.

Ale za parę tygodni nie było już starych Goldmanów w domu na Koziej Górce. Ani pani Goldmanowej, ani Geni. Siedzieli wszyscy za drutami Ghetta w nieopisanym ścisku, wrzasku, zamęcie, wśród tobołów z pościelą i walizek, wtłoczeni wraz z innymi żydami w cudze mieszkania, w cudze śmiecie, w cudze podwórka.

Anielka płakała. Chodziła wzdłuż drutu wypatrując Geni wśród tumultu i rozpaczliwego wrzasku ludzi, odciętych drutem od dawnego życia, od świata — od wszystkiego. Geni nie było.

Aż dopiero po kilku dniach, kiedy się to wszystko jakoś utarło i uspokoiło, kiedy ludzie poprzesiedlani z obu stron drutu trochę się oswoili z nowymi siedliskami, kiedy stłoczeni i zrozpaczeni żydzi rozłożyli się jakoś ze swoimi gratami w ciasnocie i zgiełku Ghetta, wydało się raz Anielce, że widzi wśród gromadki gadających i gestykulujących kobiet podobną do Geni spokojną dziewczynkę w czymś granatowym.

Niemiecki żandarm z karabinem wyrósł nagle jak spod ziemi i zaczął chodzić wzdłuż drutu. Dwaj chłopcy, którzy stali z kawałkiem żelastwa w rękach i gadali z młodym żydem zza drutu, oddalili się śpiesznie. Jakaś młoda dziewczyna szepnęła do Anielki, że lepiej jest rozmawiać z żydami za zakrętem, od strony ulicy Lipowej, bo tam nikt nie pilnuje. Anielka pobiegła za nią i tym razem wyraźnie spostrzegła Genię, przenoszącą razem z innymi jakieś tłomoki z jednego domu do drugiego.

— Geniu, Geniu! — zaczęła wołać za nią. Genia odwróciła ku niej swoją spokojną twarz, kiwnęła ręką, że najpierw musi odnieść swój tobół i dopiero po chwili wyszedłszy z domu, bez

pośpiechu podeszła do drutu. Była trochę nieswoja, czy zmieszana.

— Geniu, Geniu — zaczęła znowu Anielka i nagle rozpłakała się. A potem nie wiedziała co powiedzieć i niespodziewanie dla siebie samej, spytała Geni, czy nie jest głodna.

— Głodna? — zdziwiła się Genia. Nie, nie była głodna. Ale była jednak inna niż zawsze. Milczała. Właściwie było tak, jakby obie koleżanki nie miały o czym mówić. Aż w końcu Genia przemówiła. Nie o tym jak jest w Ghecie, nie o swoim nieszczęściu, tylko o kocie. Że mały kot się do nich przybłąkał, zdaje się, że był chory, piszczał, pewnie go ktoś nadeptał w tym tłoku. Ale teraz już jest lepiej. Śliczny kotek bury z białym brzuchem i chodzi za Genią krok w krok. Podobny do tego kota Dąbkowskich. Czy Anielka pamięta? A co słychać u Dąbkowskich?

I jak się zaczęło od kota i od Dąbkowskich, to już poszło dalej. Bo właśnie Dąbkowscy musieli się wynieść z terenu zajętego na Ghetto do domu po żydach, po Rozencwajgach. A Goldmanom dali mieszkanie Mańka Cieślaka... A co robi Maniek Cieślak? A co słychać w szkole?

Od tego całego gadania zrobiło się, jakby nie było między nimi drutu, jakby było zwyczajnie. Słońce świeciło nad miastem, niebo było błękitne i głębokie, jakby już wiosenne. I z tego nieba i słońca, czy ze słów Geni spływała jakaś ulga. Bo cóż to Genia mówi? Że przecież tak długo nie może być? Że matka wystara się o narzędzia, że będzie znowu zarabiała!

Niemcy wcale nie pilnowali od tej strony. Naschodziło się dużo ludzi z miasta. Gadali poprzez drut, załatwiali jakieś interesy, handlowali, targowali.

I tak było przez całe tygodnie. Anielka przybiegała codziennie, wołała. Opowiadała co się dzieje na mieście, co w szkole. Namawiała nawet Genię, żeby przelazła przez drut i szła z nią razem na błonie, w stronę rzeki. Tak jak dawniej, jak zwykle.

Bo przecież nikt nawet nie patrzy. Nic nie ma, jest całkiem zwyczajnie.

Nie było zwyczajnie. Pewnego dnia wśród rozgadanych handlujących ludzi zrobiło się jakieś poruszenie, popłoch. Żydzi za drutem znikli po domach, jakby ich kto wymiótł. Niewiadomo skąd zjawili się żandarmi... Straszne oczy wyjrzały spod hełmów. Padł strzał, ktoś jęknął, ktoś miękko upadł na bruk.

Anielka sama nie wiedząc jak i kiedy znalazła się w czyjejś sieni. O jakiejś chwili wyjrzała — było cicho, było pusto. Przemknęła się chyłkiem pod murami przez puste ulice pobiegła do domu. Płakała, drżała, nie mogła się uspokoić, ani zasnąć długo w noc. A nazajutrz rano, gdy wreszcie zasnęła, obudziły ją głosy. Pani Kwiatkowska mówiła do matki, że na mieście rozklejono czerwone plakaty; nie wolno podchodzić do ogrodzenia Ghetta, nie wolno mówić z Żydami, ani handlować z żydami, ani wielu jeszcze innych rzeczy, ale pani Kwiatkowska nie wie jakich, nie mogła przeczytać, bo nie miała okularów. Ale to wie, że za wszystko jest kara śmierci.

— To niemożliwe — powiedziała matka, a ojciec rozgniewał się na matkę, że dlaczego właściwie niemożliwe?

— To ty jeszcze nie wiesz, że u Niemców wszystko jest możliwe? A nie zastrzelili wczoraj chłopca od Sarniaków? Jutro będzie pogrzeb!

Mówił jeszcze przez chwilę o Niemcach i o tym, co oni z żydami wyprawiają po innych miastach.

Anielka wtuliła twarz w poduszkę, nie mogła, nie chciała tego słuchać.

— I tu będzie tak samo — powiedział w końcu ojciec. Wziął czapkę i wyszedł. Matka mówiła jeszcze z Kwiatkowską o jakimś grochu i o mące. A potem o tym chłopcu od Sarniaków. A potem szeptem o Anielce, że tak się przejmuje. Więc Anielka poruszyła się na łóżku, żeby przestały o niej mówić. Anielka nie lubiła, kiedy matka mówiła o niej z sąsiadami.

— Muszę już lecieć do sklepu — powiedziała pani Kwiatkowska. Ojciec wkrótce wrócił. Przeczytał nam ten plakat: nie wolno nic sprzedać żydom, ani nic kupić od żyda, ani dać jeść żydowi, ani mu pomóc, ani przewieźć na furmance... za to wszystko jest kara śmierci.

Matka krzątała się przy kominie. Nagle zwróciła ku ojcu zmienioną twarz.

— To jak ja głodnemu żydowskiemu dziecku dam trochę zupy, czy kawałek chleba, to mnie Niemcy zabiją za to? — powiedziała powoli.

— A cóżeś ty myślała? Cholery przeklęte! — huknął ojciec. Chciał sobie skręcić papierosa, ale mu palce tak drżały, że nie mógł.

Matka potrząsnęła głową, ale uśmiechnęła się po swojemu zbielałymi ustami. Wiedziała swoje. Zamyślonymi oczami

wodziła po pokoju. Wzrok jej padł na przerażoną Anielkę w łóżku.

— Ubieraj się i idź do szkoły! — krzyknęła — nic tu nie wyleżysz! — I z hałasem przesunęła garnki na kominie.

Anielka wyszła smutna, ale się trochę pocieszyła, bo pogoda była śliczna i błyszcząca słońcem. A może to jakoś się polepszy, może wszystko będzie dobrze?

Nie było dobrze. Dnie szły wiosenne i na błoniu za miastem kaczeńce zakwitły, jak złoto. Ale z żydami było coraz gorzej. Ludzie z miasta przestali podchodzić do Ghetta i handlować z nimi. Ustały zarobki, zaczął się głód, zwłaszcza dla uboższych. Mimo strachu przed Niemcami, głodne dzieci żydowskie przełaziły przez drut, chodziły po mieście, żebrały po domach. Matka Anielki stale dawała jeść dwóm chłopcom i jednej dziewczynce.

— Żandarmów mi tu sprowadzisz! — gniewał się ojciec, a sam wyciągał landrynki z kieszeni i dawał żydowskim dzieciom.

Matka śmiała się, że majowy deszcz zmyje te plakaty.

— Nie bój się, rozkleją inne — gniewał się ojciec, brał czapkę i wychodził z domu.

Od śmierci Sarniaka Anielka bała się Niemców. Bała się ich wściekłego wzroku, bała się straszliwych oczu pod hełmami. Omijała z daleka posterunek, komendę miasta, patrole.

Ale w domu przy matce nie bała się niczego. Matka była jakaś taka, jakby przy niej nie mogło się nic złego stać.

— Wyjrzyj-no, Anielcia, czy Niemców gdzie nie ma — mówiła matka wesoło, kiedy dwóch małych Rozencwajgów z włosami kręconymi jak kwakały jadło zupę z garnka, albo kluski.

— A wy jedzcie prędzej i uciekajcie — mówiła znów do tych Rozencwajgów i niewiadomo było, czy dlatego, że mogą przyjść żandarmi, czy dlatego, żeby prędzej zmywać garnki. Anielka wyglądała przed dom raz po raz i szeptała dzieciom, żeby powtórzyły to i owo Geni Goldman, córce dentystki.

Bo z Genią rzadko kiedy widywała się teraz. Do Ghetta trudno było podejść, ale Genia czasem wymykała się z Ghetta, załatwiała matce różne sprawy i wpadała do Anielki. Nie chciała nigdy nic jeść. Wyglądała dobrze, widocznie starzy Goldmanowie mieli jeszcze pieniądze.

— Nam to nic, ale biedota żydowska, to chyba wymrze z głodu. — Tak mówiła i wzdychała i potrząsała głową jasną teraz, bo utleniła włosy, żeby mniej wyglądać na żydówkę.

I zaraz musiała dodać, że to już pewnie niedługo się skończy, bo to niemożliwe, bo z czego by żydzie żyli w Gehcie?

— Handlu nie ma, nic nie ma... i znowu żandarmi zastrzelili żyda i żydówkę, co mieli kartofle ze wsi od chłopa — tak mówiła i potrząsała głową, a ciemne rumieńce na jej twarzy wyglądały trochę dziwnie przy tych zajasnych włosach. I w końcu obie śmiały się z tego, że Genia jest teraz więcej blondynką od Anielki. I że wobec tego może pobiegać po błoniu, gdzie jest teraz tak ładnie.

Bo dnie szły coraz dłuższe, szczęśliwe letnie dnie, czerwone plakaty spłowiały od słońca i całkiem gdzieś znikły z murów. Żandarmi wyjeżdżali na wieś i w mieście mniej pilnowali Ghetta.

Ale w końcu lata pojawiły się nowe plakaty: że kto przetrzymuje żydów, albo pomaga im w jakikolwiek sposób, podlega karze śmierci. A kto wie o tym, że inny przetrzymuje żydów, a nie donosi o tym Niemcom, także podlega karze śmierci...

— Skąd ja mogę wiedzieć, czy ta cała Kwiatkowska, jak się z tobą pokłóci, to nie pójdzie z językiem do Niemców? Czy musisz karmić te bachory? — zirytował się raz ojciec.

Matka stała przy kominie. Odwróciła ku ojcu twarz. — Muszę — odpowiedziała niegłośno, ale prawie groźnie. I nagle roześmiała się — a Kwiatkowskiej daj spokój, ona codziennie karmi tego małego od Kahanów i Ryfkę Ciechanowską!

— To już napewno niedługo się skończy, bo tak to przecież niemożliwe! — powiedziała znowu Genia Goldman, wpadłszy raz na chwilę w gorący sierpniowy wieczór. Miała trochę pobladłą twarz i była zmęczona, bo musiała coraz częściej biegać i sprzedawać coś z rzeczy, żeby kupić trochę jedzenia. I teraz miała przy sobie dwie poszewki ze wstawkami na sprzedaż. Za bezcen.

— Co za szkoda tak marnować rzeczy! — Matka Anielki gładziła piękne płótno — ja nie mam pieniędzy, ale może Kwiatkowska... co za szkoda!

Genia uśmiechała się tylko i potrząsnęła swymi utlenionymi włosami — głupstwo rzeczy! Byle tylko jakoś przetrwać! Ale mama mówi, że teraz to się już na pewno prędko skończy!

— Skończy się, skończy — niewyraźnie mruknął ojciec Anielki — tylko niewiadomo jak!

I jakby już całkiem nie mógł wytrzymać, gniewnie odsunął talerz z zupą, wstał od stołu, zaczął chodzić po pokoju, potem stanął przed Genią.

— Słuchaj-no Geniu. Jesteś niby to mądra dziewczyna,

a gadasz głupstwa. I ta twoja matka najlepsza w świecie kobieta, a też... Nie wiesz co zrobili z żydami w Pułtusku? w Wołominie?

Umilkł i znowu chodził po pokoju. Wszyscy milczeli. Zrobiło się strasznie. Anielka zbladła.

Ojciec teraz szeptał do Geni.

— Słuchaj — powiedz mamie, żeby tu przyszła. Będę czekał w poniedziałek, we wtorek, nawet we środę. Zawiozę ją sam w jedno takie miejsce. Będzie tam siedziała jak u Pana Boga za piecem... niby za kucharkę u jednych państwa, letników... a ciebie to my tu przechowamy...

Anielka już pocieszona, wpatruje się w ojca, to w Genię. Już widzi jak siedzą razem, jak gadają... na chwilę zapomina o wszystkim złem. Jakby nie było Niemców, Ghetta, jakby śmierć nie patrzała z pod żandarskich hełmów, z czerwonych plakatów...

Matka też patrzy na ojca. Inaczej. Bo naprawdę, jakiż ten ojciec jest, niby to się irytował na te żydowskie dzieci, a teraz sam...

I matka aż przymyka oczy. Obmyśla kryjówkę dla Geni. Dobrze. Rozważa tamten pomysł ojca u znajomych letników. Świetnie.

Ale Genia wstaje zdziwiona. Potrząsa swymi zajasnymi włosami, dziękuje za dobre serce, ale nie! Mama na pewno się nie zgodzi! Pułtusk?, Wołomin? To wszystko plotki! Niemcy też ludzie! Nie zabijają bez żadnej przyczyny... na wojnie co innego. Ale tak? To niemożliwe!

Jeszcze raz dziękuje za wszystko, owszem powtórzy mamie... a te poszewki zostawi, może pani Kwiatkowska, albo kto inny... a teraz musi się spieszyć, bo późno.

I już jej nie ma. Jeszcze raz mignęła za oknem jej spokojna twarz, jej zdziwione ciemne oczy, jej zajasne włosy...

Tak ją zobaczyli po raz ostatni. Bo w poniedziałek, ani we wtorek, ani we środę nie przyszła wcale. A w czwartek od rana miejscowi żandarmi i przybyli z Warszawy gestapowcy otoczyli Ghetto, Starych Goldmanów razem z innymi starymi ludźmi i małymi dziećmi rozstrzelali na placu, koło Starego Rynku. A resztę wywieźli w zaplombowanych wagonach. Ojciec słyszał od kolejarzy, że do Treblinki.

Ale zapłakana Anielka słyszała jak pani Kwiatkowska mówiła do matki, że juz w drodze wytruli wszystkich wapnem w wagonach, i że teraz za bezcen można kupić po nich różne rzeczy, po prostu darmo. Te poszewki to jeszcze nie były takie tanie, Kasperkowa kupiła kopertę do kołdry...

ALEKSANDER MALISZEWSKI

Zabili

Sztachety płotu biegły pod oknami, jakby ścigały się z drogą, ale droga zaraz za obejściem Buraków zakręcała pod wierzby i przez mostek na grobli śpieszyła do szosy, a szosą do miasta. Było je widać zwłaszcza nocą, kiedy niebo purpurowiało od pożarów, kiedy wysokie słupy dymu i ognia podnosiły się nagle do góry, jak ogromne buro-rude drzewa, szybko wyskakujące pniem i powoli rozpinające baldachim konarów. Wiadomo było: — tam jest miasto.

Tam się dokonywały jakieś dalekie, cudze sprawy, od których drżała ziemia, aż tu pod spokojnym, dostatnim życiem Buraków.

Stary Burak z niepokojem spoglądał w tamtą stronę, coraz częściej, coraz grubsze papierosy kręcił ze „swojego" tytoniu i grzmiał na wszystkich, huczał, zwłaszcza na żonę i małego Franusia, dla których był potęgą siły i wiedzy. Bo Józka to już nie to: Józka już miała swoje dziewczyńskie doświadczenia, wsiowe przyjaźnie; lubiła podsłuchać między ludźmi, jak poradzali to o tym, to owym — umiała zapalić się radością i oburzeniem nie tylko dla tych tu spraw, leżących między chałupami.

Któregoś dnia ona to właśnie przyniosła do domu wiadomość o powstaniu. Stary Burak zerwał się zza stołu, sklął dziewczynę, że będzie się, psiakrew, pałętać po kominkach, jęzorem plewy młócić i jeszcze nieszczęście sprowadzi.

Od szosy leciało zgrzytem przetaczającego się żelastwa.

A dróżkami przez pola przeciekały oberwańce jakieś, przysiadały na tłumoczkach, a pogiądały gdzieby się tu wtarabanić, z miski podskrobać, a jeśliś kawałek serca okazał i na próg puścił — rozkładało się toto ze swoimi łachmanami, że tylko, aby na jedną noc, a potem to już i kijem wygnać nie wygnałeś.

Burak nakazał zamknąć furtkę na skobel i żeby nijakich rozmów nie było.

Snać świadom intencyj gospodarskich, pies — Cygan, długo i zajadle obszczekiwał każdego, kto by śmiał przejść obok zagrody. Mało było takich co by odrazu nie zrozumieli, że za tym, niedawno zieloną farbą pomalowanym płotem, obwiedzionym u góry dwulinią drutu kolczastego i za tą zatrzaśniętą furtą, nie ma dla nich miejsca... Mało było takich, ale byli.

Kołatał taki na upartego, pokrzykiwał: „Hej, tam gospodarzu!” — Cygan szalał, chrypiał, obtłukiwał się o płot, a Burakpatrzył przez firankę i nie wychodził. Co ma tam z byle kim gębę sobie strzępić po próżnicy.

Dni mijały jakieś takie napęczniałe od czekania niewiadomo na co.

Jedne ludzie pogadywały na wsi, że niedługo przyjdą ruskie i będzie lepiej, a drugie znowu, że będzie gorzej. Czego ludzie nie gadają! Burak, bywało, słucha, głową kiwa, a co myśli to myśli. Nie taki on głupi, żeby komu zaprzeczać, swoją rację stawiać...

Słowa, plewy — wiatr poniesie, a wróg zostanie i gotów szkody narobić. Ale różne myśli, jak myszy po strychu, tak w tej głowie latają, gryzą, bolą. Przeważnie w nocy. To już wtedy poduszka na kamień twardnieje. Nijak sam sobie rady nie dasz, a ta głupia baba leży obok i chrapie. Budził ją.

— Słyszysz, co mówie?

— Co się stało, Adaś? — wodziła w ciemności nieprzytomnymi ze snu oczami.

— To mówie, że człowiek całe życie jak ten wół orał, żeby mieć swoje, żeby było... a tu jak przyjdzie taki czas...

Baba nie dosłucha do końca.

— Wola boska, Adaś — wzdycha, jakby jej ciężar spadł z piersi — i znowu zasypia mocno, chrapliwie.

— Głupia — warczy Burak, zrywa się, idzie do okna. Duszno. Wychodzi przed próg.

Cygan podskakuje przymilnie, plącze się u nóg, skamli.

— Psiakrew, głupie bydle, wont, precz!

Na niebie ani jednej chmurki. Gwiazdy świecą. Księżyc.

Burak spogląda w tamtą stronę i widzi, jak wielkie gwiazdy i księżyce wiszą nad miastem, coraz niżej i niżej. Tu — niebo spokojne, a tam błyska, grzmi, huczy.

— Szkody ludziom narobią — prawie głośno mówi Burak, ale tak, jakby te słowa wypowiedział ktoś obok. I nie to, żeby Burak nie chciał może choćby pożałować, ale nie umie. Patrzy na bombardowane miasto szeroko otwartymi oczami i z tamtą sprawą łączy go tylko jedna myśl: każdy ma swoje.

Oj, te dni, te dni, kiedy Burakowi nie chce się iść na robotę do pola, bo niewiadomo kto to będzie jadł i kto za to zbierze pieniądze. Ale idzie. Pójdzie, podłubie i wraca. Aż dziw, że inni pracują. Ej, tam — pracują, albo i nie, bo z chłopakami to przecie odrazu widać, jak jest. Zbierają się, szepcą, radzą i coraz któryś podziewa się niewiadomo gdzie. Na wsi wszystko widać. Burak kiwa głową i milczy: co myśli, to myśli.

Wraca Burak od pola, staje przed furtką i patrzy. Od szosy podniósł się tuman kurzu i leci do wsi. Po chwili słychać warkot motoru. Jadą — myśli Burak — musi coś zmiarkowali.

Auto załadowane żandarmami już dojeżdża do grobli. Burak odetchnął — zatrzymali się przed chatą Szcześniaka. Wiadomo, co jest. Szcześniakowy Józek za bardzo dziobem trzaskał, na partyzantke chodził. Wiadomo, ale co Burakowi do tego, on może nie wiedzieć, każdy ma swoje.

Do Buraka żadnych pretensji mieć nie mogą. Kontyngenty były oddane uczciwie, bez szacherków, a kwity leżą na komodzie pod szklanym kloszem, obok figurki Świętego Antoniego, na wierzchu, żeby jakby co, było pod ręką.

Żandarmi rozsypali się tyralierą, opasują wieś. Przez zagony kartofli leci Jóżka.

— Tatuś! Tatuś!

Czego ta głupia tak macha rękami?

Huknął wystrzał. I zaraz zaterkotała maszynka.

— Tatuś! — dopadła Jóźka do ojca. — Żandarmy przyjechały i wszystkich młodych zabierają.

Młodych? — myśli Burak, tak jakby myślał ktoś obok. I nagle te myszy zrywają się i zaczynają gryźć.

— Jóźka! — szarpie córkę — skikaj w kartofle, za tym rowem, kole kamienia — wisz? -- kole kamienia... I leź póki nie odjadą — zrozumiałaś? — leż i nie wychylaj sie...

Józka jednym skokiem znalazła się koło płotu, odchyla wiadomą sztachetę, przemyka się i hyc w pole. Zapadła.

Auto ruszyło od Szcześniaków i powoli, jakby z namysłem, przejeżdża obok chałup. Zbliża się. Burak wycofuje się do chaty. Stanęli, psiekrwie przed furtką. Łomocą... Burak patrzy przez firankę. „Hej! tam! gospodarz! Aufmachen"... Trzeba wyjść. Wwala ich się z dziesięciu. „Hände hoch!"... Burak podnosi ręce do góry.

Jóźka leży w kartoflach, za rowem, koło kamienia. a serce wali jakby kto młotkiem obstukiwał je od środka. Czasem już nie ma cierpliwości i ostrożnie podnosi głowę. Nic nie widać. Tylko strzelają i strzelają jakby u nich w domu, jakby dalej — nie zrozumieć. Ktoś krzyknął rozpaczliwie i krzyk ten przechodzi powoli w skamlenie, jakby kopniętego psa. Słońce już pochyliło się nad cegielnią. I znowu wzbiera w Jóźce wściekłość na Szwabów. Cały gniew, całą nienawiść skupia w małym patyku, który tuż pod nosem wbija w ziemię i łamie, wbija i łamie. Robi się z tego dołek i nagle do tego dołka zaczynają spływać łzy. Najpierw kapią jedna po drugiej, a po-

tem płyną ciurkiem. Beczy. „Ach żebym ja ich"... Reszta patyka łamie się tuż przy palcach.

Zaturkotał motor. Samochód powoli wykręcił na drogę pod wierzby, zachybotał koło mostka, podskoczył na dylach i w tumanie kurzu zniknął na szosie.

Jóźka leci przez zagony, zziajana, skacze, jak zając, aby prędzej do chałupy, aby prędzej. Widzi, że od grobli przeciska się przez wyłamaną sztachetę Franuś.

— Franuś! — krzyczy Jóźka. — Franuś, poczekaj!

Już go dopadła.

— Franuś, powiadaj synku, co zrobili?

— Ja wiem? Tatusia pod komórkę stawili, a jeden ciągle strzelał, a ja uciekłem...

— Jezusie!...

Franuś przetarabanił się na drugą stronę, a Jóźka nijak nie może. Kiedy przez tę samą dziurę uciekała, poszło jakoś gładko i szybko — a teraz: to głowa zaduża i razem z ręką nie chce się zmieścić, to znów inne coś za szerokie, a na człowieka tuman jakiś nadszedł, bo zamiast przymierzyć jak nie tak, to tak, pcha się na siłę, a drewno ustąpić nie ustąpi. Podrapała się na cudo.

Tymczasem Franuś już jest na podwórku. Stanął i krzyczy:

— Jóźka! Tu krew!

Przed gankiem cała kałuża.

Stanęli oboje i ani kroku dalej żadne z nich postąpić nie może. Franuś przestępuje z nogi na nogę, drapie się i jeszcze bardziej kołtuni sobie łeb, a Jóźka obydwiema rękami usta zatknęła, jakby bała się krzyknąć. W chacie panuje cisza. Ani kto na próg wyjdzie, ani kto zawoła, ani kto się poruszy. Pomordowali wszystkich, Jezusie, pomordowali. Od tej żałości Jóźka aż kucnęła na schodku i łzy jej lecą między palcami. Teraz już i Franuś nie wytrzymał: zaczął cicho, cichutko, zakwilił, pociągnął nosem i rozdarł się potężnie, przeciągle.

Wtedy jęknęły zawiasy we drzwiach. Jest matka. Oczy ma czerwone, spuchnięte od płaczu.

— Czego beczysz? — mówi do Franka niby groźnie a z tkliwością.

Mokrymi od łez rękami ładzi mu zmierzwioną czuprynę i nagle wybucha nowym spazmem szlochu.

— Nie ma go już, Jóźka, nie ma go już...

— Kogo mamusiu, kogo?

Ale matka nie odpowiada. Wyciera nos i oczy fartuchem i z gniewem patrzy na córkę.

— Nie becz... Wola boska... Co się stało, to się nie odstanie... Chodźta do chałupy...

Jóźka dygoce, ale idzie. Franuś toczy się całkiem ukryty w fałdach matczynej spódnicy. Weszli do izby. Przy stole siedzi ojciec. Głowę opuścił nisko na piersi. Drżą mu czubki wąsów. Trzęsie się cały.

— Zabili, córuś, zabili...

— Kogo zabili, Jezusie Nazareński, kogo zabili, tatuś?

Przypadła do ojca i z rękami mocno przyciśniętymi do piersi, czeka na odpowiedź.

Ojciec podniósł pięści do góry. Wygląda jak statua ludzkiego cierpienia, jak uosobienie nienawiści i zemsty.

— Maćka zabili! Prosiaka naszego zabili!... I zabrali, psiekrwie!

Opuścił ręce na kolana i rozpłakał się.

Zawtórowała mu cała rodzina.

MARCELINA GRABOWSKA

Bohaterstwo

Bili, bili, bili — Powiedz!

— Mówię jak na spowiedzi. Szedłem. Znalazłem toto na ulicy. Nawet nie wiedziałem, że napewno granat. Chciałem zanieść na policję.

— Powiedz!

— Mówię przecie. Chciałem właśnie odnieść, kiedyście mnie złapali.

— Co miałeś z tym granatem zrobić?

— Odnieść.

— Nieprawda. Kto ci kazał?

— Sam.

Więc znowu bili. Wbijali swe namowy do zdrady w płuca, w serce, w mózg. Wbijali niezręczne, kłamliwe odpowiedzi. W płuca, w serce, w mózg. Bili za upór, za swoje zmęczenie. Potem z samej rozkoszy bicia, kiedy bezkarnie grają muskuły okrucieństwa.

— Powiedz!

— Nic więcej nie mogę powiedzieć nad to, co wiem. Znalazłem granat i chciałem go zanieść na policję. Wtedy mnie złapano.

Uderzenie w zakrwawioną już, już tracącą czucie twarz.— Powiedz!

— Ale co mam powiedzieć? Powiedziałem wszystko. Nic więcej, nic więcej nie wiem.

— W tym domu, gdzie ciebie złapano, był napad na Niemca.

— Nie wiedziałem.

— Byłeś w zmowie?

— Nie.

— Kto był z tobą?

— Nikt.

— Kto był z tobą?

Samo zdanie staje się ostrym biciem. W gasnącej świadomości zlewają się z sobą uderzenia i pytania, uderzenia i pytania. Już tylko machinalnie porusza się obolały język w pociętej wardze. Mechanicznie układają się słowa w ustach w takt wyćwiczonej świadomości: — Nic nie wiem. Nikogo nie było ze mną. Granat znalazłem. Chciałem oddać. — A nad tymi słowami wije się atakująca żmija nalegań: — Powiedz!

Zmęczył się wreszcie oprawca. Kazał odejść. Nie można odejść, nogi nie chcą się oderwać od podłogi, przywarły do krwawych śladów. Uderzenia w bok służą za oparcie, za punkt odbicia niesfornych nóg.

Jak boli każdy kąt ciała! Podczas bicia nawet niewiadomo było, gdzie uderzano, co tam odbito. Dopiero teraz na twardej podłodze, pośród głaskającej ciszy, piecze i rwie i ciągnie — nerwy to, czy mięso, czy czyjeś zawieszone w gorączkowym powietrzu cierpienie?

W jednostajnych odstępach czasu natarczywy szept: — Powiedz! — Wdziera się w mózg, wyszarpuje z niego chwytliwymi palcami tajemnicę. — Nic nie wiem, nic nie wiem. Jezus, Maria! byle nie zdradzić, nie zdradzić!

Przed oczami twarze towarzyszy, od których się odbił. Przecięły ich schody. Nie zdążył się wczas wycofać. — Czy poratujecie? Czy się domyślacie?

I tak nazajutrz i znowu nazajutrz. Z całego życia pozostała jedynie godzina przeżycia, którą się zsuwało w niebyt, nie chciało ująć w zdradliwe słowa. Ciało stało się sflaczałym strzępem, bez sił i bez możliwości oparcia.

Wreszcie legł. Pluł krwią, łzami rozpaczy, ostatkami sił.

Pewnego dnia przyszedł do celi granatowy — nie nasz i nie polski, ale po prostu granatowy — policjant i nachylił się nad leżącym: — Jeśli chcesz, możesz dać wiadomość swoim.

— Komu?

— Swoim. Rodzinie, towarzyszom, czy ja zresztą wiem komu. Przekażesz o sobie. Może pomogą, wydobędą.

Podniosły się zbolałe, ciężkie powieki. Och, wiadomość — to była nadzieja. To może nawet ratunek. Ale czy równocześnie to nie jest... podstęp?

Krótka walka z pokusą i... — Nie mam nikogo, a tym mniej towarzyszy.

— Nie bądź głupi. Ja nie za darmo. Zapłacisz. Albo ty, albo ci, którym zaniosę. Ale będą mieli wiadomość o tobie, a ty będziesz wiedział, czy i jak idzie ratunek.

Patrzy badawczo na granatowca. Przeziera go na wskroś zbolałymi oczyma. Trudno unieść głowę, jeszcze trudniej unieść ciężary powiek. A jak tu człowiekowi zaufać bez uważnego, ważącego spojrzenia?

— Nie mam towarzyszy. Nie mam, nie mam. Ja sam.

Jeszcze dzień i jeszcze jeden dzień. I dwie noce — koszmary. Powiedz i powiedz.

Już nie szedł do badania. Już go nie odprowadzali do celi. Już chyba trzeba było nieść.

— Słuchaj — mówi Niemiec. Wytłukę z ciebie wiadomość, albo życie. Wybieraj — tu zaraz. Wolność, albo śmierć.

Miła jest wolność. Właśnie na drugi dzień po akcji mieli urządzić zabawę — popijawę. Aby podlać zwycięstwo. Harmonia, wódka, kiełbasa. I dziewczęta, patrzące z podziwem, jakby im urósł w bohaterstwie.

Może się i odbyło. Poco mieli sobie żałować? Udało się przecie. Że jemu się przytrafiło nieszczęście?

Do męki fizycznej doszło konanie wiary. Nikt się nie upomniał, nikt nie przychodził. Zapomnieli. Jest naprawdę sam. Nie obchodzi ich, czy ma się z nimi liczyć?

A szedł już dla niego ratunek. Ponieważ zakuł się w milczeniu i nikt się nie upomniał o niego, pomyśleli, że chyba nieważny. A może naprawdę sam. Może... puścić?

Ale tego wieczora chandra się uczepiła, że ani wytrzymać. Gorączka piekła popękane usta, posiepane plecy, rozsadzała skronie. Skóra schodziła płatami, jakbyś sam z siebie wychodził człowieku. I ani się obrócić, ani ułożyć, ani jakoś ukoić choć na ten moment.

Więc kiedy na leżącego spadł poszept granatowca... — Idź — powiedział — tam i tam. Powiedz, żeby na miłość boską!... Niech dadzą pieniądze, niech wydobędą, albo niech dadzą truciznę, żebym skonał, żebym nie czuł. Bo już więcej nie mogę.

Okazało się: to nie był podstęp. Granatowiec poszedł pod wskazany adres. Powtórzył wiernie polecenie. Dodał od siebie: — 15.000 i będzie wolny.

Targi i starania. Wahania między nadzieją i straceńczym upadkiem.

Gdzie tu miejsce na ziemi, aby nie czuć, aby zapomnieć o bólu? Nie odpowiada już, ryczy, wyje. Przytomność zanika, nie znika ból. Nic już nie wie, co nie jest nim.

— Już nigdy — modli się w myśli, walącej młotami krwi. — Już... choćby nie wiem co. Ani idea, ani pieniądze, ani żadne namowy... Jezusie daj śmierć, albo wybaw, szybko ratuj! Ty zrozumiesz, ty wiesz — sam cierpiałeś. A ja już nigdy...

Wreszcie pieniądze i wydanie chłopca. Nie, wydanie ciała, które żyło, czuło, myślało, ale nie było już człowiekiem.

Siostra odchuchała, odkarmiła. Odpędzała, ordynarnymi słowy wypędzała ktokolwiek przyszedł z „tamtych".

Ale kiedy płaty skóry wyrosły, kiedy oczy nabrały życia i usiadł po raz pierwszy na łóżku, aby wyjrzeć przez zapylone okno...

— Czego ty do jasnej cholery?! Pod fartuszkiem twoim będę siedział, czy co? Wstanę którego dnia i do fabryki. A wtedy też do „roboty". Bo jakżebym miał w takiej chwili opuszczać towarzyszy?

WANDA MELCER

Wyspa Szczęścia

„Wszystkie wyspy uciekły, a góry nie, są znalezione".

Ap. św. Jana 20 XVI.

Wszystko jedno, czy to było latem, czy zimą, chodzi o klimat uczuć. Potem okaże się prawdopodobnie, że jesień bardziej będzie się nadawała do mego celu, zimą ludzie męczą się więcej w naszej szerokości geograficznej, są głodni i prawie ciągle marzną. Europa środkowa ma już to do siebie, że w jej klimacie, w jej brzydkich krajobrazach trzeba się męczyć bardziej, niż tam, gdzie można czerpać pociechę z łagodnego nieba, albo z pięknych widoków naokoło.

Na tych kartach będzie gorąco, a ludzie będą się palić. Niektórzy spalą się zupełnie i od razu, inni, po wielkim pożarze, będą się jeszcze tlić przez długie lata, rozświetlając mroki tych, którzy nie kochali, grzejąc tych, co mają zimne serca. Usiądźmy przy tym ogniu, pogrzejmy się, czy się

boicie parzących iskier? A może to będzie jak ognisko harcerskie, każdy przywlecze swoją gałąź i opowie swoją historię.

Czy jestem szczęśliwa, że, jak czarownica średniowieczna, przebyłam tę próbę ognia? Tak, jestem szczęśliwa. Ale niektórzy spalili się. A gdybym ja się spaliła? To przypadek, nie myślałam o tym, jestem szczęśliwa.

Ale dlaczego morze? Nic tu nie będzie o morzu, to jest tak zwana wielka metafora. Morze to wszyscy, cała współczesna społeczność — wyspa, to uczucie w izolacji, uczucie ludzi, których jakieś powody wewnętrzne wyizolowały od społeczności.

Zaczyna się od sprawy miłosnej między mężem i żoną. Ale najpierw personalia, bo to ważne: mąż jest oficerem zawodowym, wytrwał straszliwe walki pod Kutnem, cudem ocalał i dostał się do swego domu w Warszawie. Tu — pod zmienionym nazwiskiem — robi swoją robotę. Żona, Janka— jest po prostu jego żoną, i nic bliższego nie da się tak zaraz o niej powiedzieć.

Niemcy, oczywiście, gospodarują w stolicy, to pierwsze lata okupacji. Tu w domu było paru ludzi wieczorem i piło, teraz jest rano, tamci śpią, zatrzymała ich godzina policyjna. Ryszard bierze swoją żonę w objęcia.

— Przekręć klucz, przekręć klucz — szepcze zdyszana Janka, opierając się obiema rękami o szorstką wełnę jego garnituru na piersi.

Trzyma ją jedną ręką, nie chce puścić, przyciska do siebie, o, taki chłodny poranek, ty ciepła, ty ciepła, Janko! Z przymkniętymi oczami, lewą ręką, jak ślepy, szuka klamki w drzwiach poza plecami żony; o, jest klamka, palce spuszczają się niżej, to klucz, przekręca go jedną ręką.

— Po co? — pyta się — po co? przecież oni śpią, nikt tu nie wejdzie. Jesteś miła, ciepła, przytulna — szepcze dalej.

— Tak? — pyta Janka, odgięta mocno w tył, pełna kokieterii, sprężona, odsunięta. — Podobam ci się, kochasz, kochasz żonę?

— Kocham, kocham żonę — odpowiada, i wszystko mu się kręci przed oczami, czuje, choć ma mocną głowę, że wypił trochę za dużo. Jance też głowa się kręci, jak na karuzeli, sufit nie jest na zwykłym miejscu, i nie jest właściwie sufitem, nie jesteśmy, jak zwykle, zamknięci w kostce, tylko w jakimś dziwnego pokroju krysztale, którego natura — (a cóżby to była za krystalizacja, której formy krystalizacyjne ulegają co chwila tak zasadniczej zmianie) — coraz niepo-

kojąco się odmienia. Cóż za architekt budował ten przeklęty pokój? — myśli Ryszard, ale nie, to nie kryształ, w częstym falowaniu tych form jest coś miękkiego, co odwodzi myśli od gładkiej i zimnej precyzji kryształu. Może to woda?

— Wóda, Rysiu, wóda! — szepcze ze śmiechem Janka, czy odpowiada na jego myśli? — I nie krzycz tak głośno, bo ich pobudzisz. — Nalewka, sama ją nastawiałam, chwaliłeś, a teraz nie pamiętasz, ach, ty!

O, jakże chłodne, jakże miłe to prześcieradło ze lnu, jak głaszcze rozpaloną skórę!

— Nie śpij, Rysiek, nie śpij, miałeś ich odprowadzić, a jak uśniesz, to się ciebie do południa nie dobudzę!

Ryszard coś mruczy, przeciąga się i przewraca, ale Zneniecki i Brożek pukają już do drzwi.

— Czy można, proszę pani, czy można? Już dzień, pani Janko, trzeba iść!

— Zaraz, zaraz!

Janka zeskakuje z łóżka prosto w dwa pantofle, narzuca szlafrok, zbiera go na biodrach.

— Usnął — mówi, uchylając drzwi.

Całują jej ręce przez tę szparę, tulą do niej z przyjemnością wargi.

— Już wstaję — mówi Ryś.

— Poczekajcie, zrobię wam śniadanie, jest tam chyba jakaś resztka bigosu, zaraz odgrzeję, panie Brożek, niech pan zobaczy, zdaje się, że tam za panem leży chleb.

— Nie trzeba, nie trzeba, a któżby tam jadł tak rano! — mruczy Zneniecki.

— No, chodź, idziemy!

Wyszli we trzech — i nie wrócili więcej. Ani Ryszard, ani Brożek, ani poczciwy Zneniecki. Na drugi dzień nad wieczorem przyszła pierwsza wiadomość, Janka była w domu, nie wiedziała, czy ma wyjść szukać, czy siedzieć i czekać, co robić, dokąd pójść, wszyscy w rozsypce, nikogo niepodobna znaleźć, nie ma dowództwa, nie ma przyjaciół.

Z kartką przyszedł mały chłopak, trzeba mu było dać złotówkę. Na kartce był jej adres i parę słów: „wiozą mnie Alejami". W ciągu następnych dni przyszło w ten sam sposób jeszcze kilka skraweczków papieru, wszystkie z adresem, wszystkie z oznaczeniem kierunku jazdy, wszystkie najwidoczniej wyrzucone z pędzącego auta w ciągu tych 10 minut, które trwał przejazd. Janka trzy dni nie wychodziła z domu,

czekała, w końcu nie było już co jeść, nigdzie ani kawałeczka chleba, a tak się też złożyło, że nikt jej w tym czasie nie odwiedził. Wyczekała jeszcze jeden dzień: nic już nie przyszło.

„Ja sama go wydałam — powtarzała dziesiątki razy — „ja sama go wydałam. Powiedziałam „nie śpij”, przypominałem, żeby poszedł z nimi. Gdyby był został w domu, o gdyby był został!”

I znów: powiedziałam „nie śpij, miałeś ich odprowadzić”. Czyż nie wystarczało dać adres, sami byliby trafili. A ja powiedziałam: nie śpij, miałeś ich odprowadzić! Zwariuję!”.

Pobiegła do przyjaciół, poradzili, żeby podać paczkę, to przynajmniej dowie się, czy jest na Pawiaku. Sprzedała pierścionek, nakupiła, co mogła, pół kilo słoniny, chleb, trochę cukru, usmażyła mięsa. Paczki przyjmowano na Krochmalnej w komisariacie, ogon był ogromny, stała ze trzy godziny, czekając na swoją kolej, a kiedy doszła wreszcie do stolika, przy którym siedziało dwóch niemców i granatowy policjant, dowiedziała się, że na literę M paczki przyjmowane będą dopiero w piątek. Więc straciła trzy dni, chleb był nie świeży, trzeba była od nowa zawijać. Paczkę przyjęto w piątek. Tu więc był.

Za tydzień przyszedł zresztą pierwszy gryps. Ryszard prosił o swój rentgenogram, żeby się mógł zgłosić do szpitala, prosił o większą ilość cukru, o mały, litrowy garnuszek. Janka zaczęła biegać za tym garnuszkiem, który trudno było znaleźć — i jednocześnie za uwolnieniem. „Żona jestem, żona” — powtarzała ciągle, aż do uprzykrzenia, jakby mogła o tym zapomnieć, jakby to się dało zapomnieć. Potem dowiedziała się, że go skuto, że na badaniu był w kajdanach, więc znalazła kawałek mocnego, konopnego sznurka z długich, ostrych włókien i przewiązała sobie nim obie ręce w kostkach. Teraz, kiedy chciała wziąć łyżkę zupy do ust, musiała podnieść obie ręce razem. Do rozpinania sukni potrzebowała pomocy sąsiadki, kiedy chciała zapalić — tak, to było najłatwiejsze, w jednej ręce pudełko, w drugiej zapałki, tak, to szło najlepiej. Zapalić! Ale przecież więźniom nie było wolno palić. Nie będę palić, jeżeli on nie może — powiedziała sobie, i wyrzekła się papierosa. Im cięższe były te umartwienia, tym bardziej się cieszyła. Cierpię choć trochę jego mąk. Jestem szczęśliwa, mogąc cierpieć! W nocy zrzucała z siebie puchową kołdrę, pod którą razem sypiali. Puchowa kołdra, co za zbytek! Marzła, zaczęła kaszlać. On też tam przecież marznie, a rentgenogram trzeba było kupić, tamten gdzieś się zapodział. Kichała, kaszlała, zbladła. Janka się zabije — mówiły

współczujące przyjaciółki — a przecież twoje zdrowie tak mu jest teraz potrzebne!

Tak, jej zdrowie, to było wszystko, co mu teraz pozostało, żeby się starać, żeby biegać, myśleć, żeby dbać. Naciągnęła z powrotem kołdrę, potrzebowała całej energii, wszystkich swoich sił. Rozluźniła kajdany na rękach, potem zdjęła je zupełnie, ale nie od razu. Kiedyś weszła z tym do Stahla do kantoru, zrobiło to na nim wielkie wrażenie. „Będę ich tym szantażować — pomyślała — przecież to także ludzie”. Pokazywała, podnosiła swoje rozwiązane ręce, była taka ładna, bladość i ciemne koła powiększały oczy, ciemne usta paliła gorączka. Stahl obiecał działać, uspokajali ją wszyscy, to musi być omyłka, mówiła ona sama i oni też przywtarzali jej, że to musi być omyłka. Ale właściwie niewiadomo, kto tu kogo oszukiwał, wszyscy wiedzieli, że żadnych omyłek nie ma. Ryszard był oficerem — w pierwszym rzędzie wywożono przecież oficerów, Ryszard był Polakiem, w pierwszym rzędzie wywożono i niszczono Polaków. Miejsca, miejsca, ziała głodna niemiecka szarańcza, która spadła na polskie ziemie.

Póki ich nie wywieźli, była jeszcze nadzieja. Przyszedł drugi gryps, Ryszard był zmęczony i zdenerwowany, pisał, że inne żony dostarczają mężom więcej paczek, że jest zawsze pokrzywdzony, dziwił się, że Janka tak źle daje sobie radę. Dwie noce i dwa dni płakała po tym liście. Z drugiej strony wiedziała, jak był dzielny, jak był niezłomny, jak wykrętne, jak sprytne dawał odpowiedzi, jak nikogo nie wciągał, jak o niczym niby nie wiedział. Dotychczas nie bito go na śledztwie, był tylko ciągle głodny.

Stahl poszedł do gestapo we wtorek, nie przyjęto go, kuzyn podobno wyjechał. Kazano wrócić w czwartek. Wrócił w czwartek, potem znów sam musiał wyjechać, tak, że Jance aż do końca tygodnia nie udało się go złapać. W niedzielę spał długo, pomyślała, że zastanie go w jednej z jego licznych restauracji, jakie sobie pootwierał w całym mieście, pompując pieniądze z pijaków. Zaproponował jej, żeby usługiwała w nowym lokalu, który miał zamiar otworzyć, nie zgodziła się. „Ja wiem, że pani się nie zgodzi, ale myślałem, że pani ma teraz trudności finansowe, paczki i wszystko”. Musiała kręcić, zwodzić go, nie chciała przecież, żeby się domyślał dezaprobaty, on, dawny przyjaciel i kolega Brożka, teraz kompan szpiegów i policjantów, potentat finansowy, który trząsł wielkim koncernem restauratorów. Starała się nie podać mu ręki, brzydziła się, przychodziła naumyślnie obładowana paczkami, prawa i lewa ręka zajęta, nie zdejmowała rękawiczek.

„Cóż zrobię, cóż wymyślę, jeśli Ryszarda uderzą?" myślała z przerażeniem, ile razy się obudziła w nocy. Znienacka zjawił się Brożek, puszczono go. Przyszedł do niej o zmroku, tuż przed godziną policyjną. Łeb miał ogolony, patrzył błędnie.

— Więc pan, więc pan... nie mogła tchu złapać, kiedy go zobaczyła, jak tak stał na schodach w świetle lampki owiniętej w niebieską bibułkę, chudy, z wpadniętymi oczodołami, jak upiór.

— Niechże mnie pani wpuści — wyszeptał — nie będziemy rozmawiać na schodach.

— Kiedy pan wyszedł? — spytała, cofając się w drzwi.

— Dziś rano. Niechże mnie pani wpuści, i tak zaraz wyjdę, nikt za mną nie idzie. A pani nie niepokoili?

Oglądał się, drżał, pomimo swoich wszystkich zapewnień. Na twarzy miał szramę, której nie znała, ręce mu się trzęsły.

— Są wiadomości od Ryszarda.

— Co panu kazał powiedzieć? Kiedy go pan widział?

— Ostatni raz wczoraj wieczorem.

— Nie bili go?

— Dotychczas nie. Kazał panią pozdrowić, powiedzieć, że pamięta wszystko dobre, żeby pani była dzielna, cokolwiek się stanie.

— O Boże, przecież żyje!

— Niech się pani uspokoi. Powtarzam jego słowa. Wierzy w uwolnienie, wie, że się staracie.

— Pana zwolnili!

— Wyjeżdżam w nocy. Nie chcę drugi raz wpaść im w ręce, ale musiałem pani przynieść pozdrowienie.

— Jak wygląda?

— Nienajgorzej, nienajgorzej. Ja muszę iść. Zaraz jadę. Niech pani się śpieszy, niech go pani wyciągnie.

— Więc coś złego!

— Nic złego, wszystko złe.

— Niech mi pan opowie wszystko szczegółowo. A może pan chce kawy? Mam trochę prawdziwej kawy, zaraz zaparzę. A może pan głodny? Co też to ze mnie za gospodyni? Więc szczegółowo. Coście jadali? Jaki obiad? Gdzie stało łóżko?

— Łóżko! Co pani mówi! Prycza, robactwo... Ale ja muszę iść. Do widzenia.

— Ależ panie, panie Brożek, co wam dawali na śniadanie?

— Do widzenia, do widzenia pani, dziękuję za wszystko dobre, czego od was doznałem!

KAZIMIERZ CZACHOWSKI

Przegląd literacki

1. Powieść Wandy Wasilewskiej

W .Wasilewska: Tęcza. Moskwa 1944. Nakładem Związku Patriotów Polskich z Z. S. R. R. Str. 180.

Nowa powieść Wandy Wasilewskiej, dostępna naszym czytelnikom dopiero od niedawna, szerzej już znana z przeróbki filmowej, mniej zresztą udanej, odznaczona wysoką nagrodą Związku Radzieckiego, tłumaczona już na szereg języków obcych, jest bez wątpienia wybitnym zdarzeniem literackim. Przedstawione w niej losy wsi ukraińskiej pod wojenną okupacją niemiecką, losy dobrze nam znane z własnego doświadczenia, przemawiają do czytelnika wymową głęboko odczutej prawdy życiowej. Realizm tej prawdy jest stylizowany pod kątem wydobycia akcentów patriotyzmu, żywionego przez całą ludność Ukrainy radzieckiej w walce o wolność z okrutnym najeźdźcą. Stylizacja to jednak oparta na rzeczywistości dziejowej i utrzymana we właściwych ramach prawdopodobieństwa. Rzeczowość zaś powieściowego opisu, wybitnie epicki spokój opowiadania, pozbawiony jakiejkolwiek przesady, a przecież wyraźnie określający poszczególne charaktery ludzkie, nadaje całości piękno wnikliwego zrozumienia i odczucia gromady narodowej w krytycznej dobie dziejowego ucisku. Nie brak w całości obrazu momentów społecznie ujemnych w losach jednostek współdziałających z najeźdźcą. Wobec wszakże postawy ogółu, na wskroś i najofiarniej patriotycznej, takie wyjątki, ograniczone do nielicznych słabych charakterów, są tylko cieniem, niezbędnym do tym mocniejszego podkreślenia świateł. A właśnie w umiejętnie realistycznym pokazaniu tych świateł, rozpinających się tęczą nad zbiorowymi dziejami wsi ukraińskiej, jest nasza autorka nielada mistrzynią. Zważywszy poniekąd odwrotny stosunek do oceny rzeczywistości społecznej, technikę ostatniej powieści Wasilewskiej zestawiać by się dało z techniką Władysława Orkana z okresu **Komorników** i **W Roztokach.** Z tą jedną jeszcze różnicą, że gdy u Orkana wybija się bohaterstwo indywidualnej, górującej nad gromadą jednostki, to u Wasilewskiej właściwym bohaterem jest cała społeczna gromada. Toteż składające ją jednostki, aczkolwiek w charakterach swych dobrze

wyodrębnione, znaczą się nie tyle własną indywidualnością, co współdziałaniem ze społecznością zbiorową. Jeśli można tu mówić o bardziej wyodrębniających się porywach bohaterstwa, to przede wszystkim z powodu matek i dzieci, matek — gotowych do poświęcenia dla dobra sprawy nawet własnego dziecka, dzieci — służących z własnego porywu najtrudniejszym zadaniom w walce z wrogiem. Momenty powieści, w których wybitna rola przypada dzieciom wsi ukraińskiej, zaliczyć by trzeba do najpiękniejszych rozdziałów **Tęczy**, gdyby można by tu było wyróżniać. Całość bowiem opowiadania we wszystkich szczegółach, nie wyłączając pięknych opisów przyrody zimowej, utrzymana została przez autorkę w równomiernym napięciu epickim. Nie ma tu nic z tendencji, jaka artystycznie szkodziła przedwojennym powieściom autorki. **Tęcza** jest dziełem dojrzałego i dobrze opanowanego realizmu społecznego.

2. Zbiorowe wydanie Juliana Przybosia

Julian Przyboś: Miejsce na ziemi. (Kraków), 1945. Spółdzielnia wydawnicza „Czytelnik". Str. 159, 4 nlb.

Stanowisko Juliana Przybosia w dziejach współczesnej poezji polskiej jest już zupełnie bezsporne, pomimo podnoszonych tu i ówdzie zastrzeżeń. Te ostatnie kierowane są zresztą przeciw rzekomej niezrozumiałości utworów poety. Nie tyle może nawet utworów, co stosowanej w nich techniki poetyckiego obrazowania, wynikającej ze świadomego dążenia do wynalazczości, jako podstawy twórczego stosunku poety do swego zadania. Że zaś przy tym liryczna uczuciowość Przybosia opiera się na wybitnie intelektualnym, rozumowym pojmowaniu siebie i świata, wpływa to dodatkowo na rodzaj uniezwyklania poetyckiego słowa. Toteż poezja jego istotnie nie jest łatwa i wymaga od czytelnika nieco zwiększonego wysiłku myślowego. Kto jednak pokona początkowy opór, jaki stawia czytanie poezji, celowo unikającej łatwizn uczuciowej rozlewności lirycznej, kto zada sobie nieco trudu, aby przywyknąć do odmiennych sposobów wyrażania stanów uczuciowych w mocno zwięzłej i głęboko skupionej twórczości Przybosia, ten nie tylko pojmie poetę, lecz odnajdzie w jego poezji wartości o wiele istotniejsze od tych, jakie wprawdzie bezpośredniej przemawiają do czytelnika, aby wszakże dość prędko spowszechnieć. Zresztą i Przyboś, w poszukiwaniu własnego dla siebie wyrazu, od początkowych prób doszedł obecnie do tego stopnia osobistej dojrzałości twórczej, która niczego nie ro-

niąc z oryginalności poety ani nie zbaczając z wytkniętej przez niego drogi, przyniosła mu pełne uświadomienie poetyckiego stanowiska i powołania, stawiając go zarazem na czele naszej współczesnej poezji, jako zjawisko zupełnie odrębne, lecz również najściślej związane z wzrastającym prądem realizmu społecznego. W nowych cyklach poety, oprócz podniesienia się współczucia ze zbiorowymi dziejami narodu w **Póki my żyjemy**, zaznaczyło się dodatnie pogłębienie uczuciowego liryzmu. Świadczą o tym zwłaszcza utwory, objęte w wydaniu zbiorowym wspólnym nagłówkiem: **Do ciebie o mnie**, należące do najlepszych w twórczości poety i do najpiękniejszych zjawisk głęboko pojętej, skąpej w wylewności osobistej, lecz tym mocniej wzruszającej, na wskroś męskiej liryki. Zważywszy zaś rzadkość tego rodzaju liryzmu, którego najcelniejszym w naszej poezji przykładem jest twórczość Mickiewicza, tym bardziej wzrasta znaczenie poezji Przybosia.

W zbiorowym wydaniu, obejmującym także nowe utwory, z dawniej drukowanych pominął poeta te, które obecnie wydały mu się niedojrzałe do druku, w szeregu innych wprowadził skreślenia i zmiany. Niemniej wyraźnie uwydatnia się jednolitość linii rozwojowej Przybosia jako poety, począwszy od pierwszych jego utworów, liczących już blisko ćwierćwiecze. Toteż w wydaniu zbiorowym mógł nie przestrzegać porządku chronologicznego, wprowadzając do układu podział rzeczowo - rozwojowy. W krótkiej przedmowie do **Miejsca na ziemi** sam to wyjaśnia: „Przeszedłem długą i stromą drogę poetycką, od pierwszego wyrazu odszedłem daleko; a jednak, widzę to dziś, jaśniej niż przed dwudziestu laty, ale równie daleko, droga wiedzie ku temu samemu celowi, który mi świtał u początku .Bo mierzę ją jednorodnym rytmem mojego osobnego czasu i wspólną przestrzenią mojego kraju". Sygnalizując tymczasem ukazanie się książki, na później odkładamy szczegółową jej ocenę, na jaką ze wszech miar zasługuje.

3. **Nowości petyckie**

Zbigniew Bieńkowski: Sprawa wyobraźni. Kraków, 1945. Związek Zawodowy Literatów Polskich. Str. 48. — Jerzy Lau: U płomienia. Kraków, 1945. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik". Str. 20. — Roman Sadowski: Życie — naprzeciw. Poezje. Z zasiłku Resortu Kultury i Sztuki Zarządu Miejskiego m. st. Warszawy, 1945. Str. 35. — Artur Maria Swinarski: Przekleństwo morza.

Wiersze, 1935 — 1945. Nakładem Księgarni Stefana Kamińskiego w Krakowie. 1945. Str. nlb. 31. — Adam Włodek: Najcichszy sztandar. Spółdzielnia Księgarska „Czytelnik”. Kraków, 1945. Str. nlb. 34.

Rozmaite, przede wszystkim gospodarcze przyczyny sprawiły, że we wznowionym po pięcioletniej przerwie okupacyjnej ruchu wydawniczym z dziedziny literatury, poza żywotniej rozwijającym się czasopiśmiennictwem, spotykamy tymczasem wyłącznie zbiórki poetyckie. Dzieła powieściowe bowiem wymagają większego przydziału papieru i pracy drukarskiej oraz poważniejszego nakładu środków pieniężnych. Niemniej wadzą tu niedostatecznie wyjaśnione, a pilnie wymagające uporządkowania, warunki i uprawnienia wydawnicze, w znacznej mierze zależne od jedynej wielkiej spółdzielni wydawniczej, która przy dużej prężności organizacyjnej okazuje się jak dotąd mniej ruchliwa w swym właściwym zakresie działania.

Pierwsze książki poetyckie w oswobodzonej Polsce pojawiły się z końcem roku 1944 nakładem Związku Zawodowego Literatów Polskich w Lublinie. Są to powszechnie już znane utwory Jastruna, Przybosia, Putramenta i Ważyka. Po dłuższej przerwie ostatnie tygodnie przyniosły szereg nowych tomików poetyckich.

Przekleństwo morza Artura Marii Swinarskiego przedstawia nam dawniej znanego poetę w zupełnie nowej formie, daleko odbiegającej od pierwszych jego wystąpień w **Zdroju** i następnych, osobno wydawanych w Poznaniu książek. Odmienność polega zwłaszcza na znacznym podniesieniu powagi twórczej, jako też na dojrzałym uklasycznieniu środków poetyckich. Nowy zbiór, zawierający utwory z dziesięciolecia, nie ma wprawdzie jednolitego wyrazu. Rzecz to zrozumiała, że **Wiersze w podróży**, pisane w r. 1935, różnić się muszą od utworów z r. 1945. Mimo to we wszystkich niemal tkwi właściwa autorowi nuta, najdobitniej podkreślona w wezwaniu do zerwania z cierpkim spadkiem cmentarnym, do święcenia pożaru ksiąg pielgrzymstwa polskiego i do młodych przyjaciół uśmiechu. Wbrew ostatniemu wezwaniu, poeta, lubujący się dawniej w roli raczej wesołka, spoważniał. Wyszło to na dobre jego twórczości, odznaczającej się w ramach tradycyjnej techniki dużą pomysłowością i wynalazczością środków poetyckich. Zbyteczne dodawać. że stopień artyzmu jest bardzo wysoki.

Wszystkie inne tomiki są debiutami. Najpiękniejszy z nich, aż zadziwiający dojrzałym spokojem opanowania formy, to

Sprawa wyobraźni Zbigniewa Bieńkowskiego. W tych utworach wierszem i prozą, poświęconych przeważnie lirycznym rozmyślaniom nad osobistym stosunkiem poety do filozoficznych zagadnień życia, mamy do czynienia z samodzielnie szukającym pogłębienia umysłem i zarazem z bezspornie autentycznym talentem poetyckim. Odwaga, z jaką poeta stawia sprawę wysuniętą w tytule zbioru, sposób poetyckiego obrazowania przeżyć i rozmyślań, nieco może za rozwlekłych w utworach prozą, wreszcie beznaganna czystość i przejrzystość artystycznego wyrazu, w którym o rzeczach trudnych mówi w pozornie łatwej formie — stawia Bieńkowskiego w rzędzie najciekawszych zjawisk naszej powojennej poezji. Już ten debiut zapewnia nam trwałą o nim pamięć, jako o poecie wybitnie samodzielnym i jakby od razu dojrzałym. Ta dojrzałość artystyczna, jej klasyczna prostota, budzi w krytyku aż niepokój. Z tym większym zaciekawieniem przyjdzie śledzić rozwój tak świetnie debiutującego talentu.

Następnym, wprawdzie jeszcze niedostatecznie skrystalizowanym, lecz wybitnie zapowiadającym się młodym poetą jest Jerzy Lau. Pierwszy jego osobno wydany zbiór: **U płomienia** uderza przede wszystkim bogactwem wyobraźni oraz poczuciem dźwięczności formy wierszowej. Jeśli w utworach autora, rozwijającego dość szeroką skalę zainteresowań lirycznych, począwszy od motywów osobistych aż po związane z nimi tematy społeczne, pod względem formy zwrócono już uwagę na pewne pokrewieństwo z Przybosiem i Czechowiczem, to samo zestawienie tych rozbieżnych wzorów świadczy, iż Lau dąży do znalezienia własnej drogi, nie poddając się przewadze jakiegoś ściślej określonego wpływu.

Wyraźnie w sferze oddziaływania Przybosia tkwi Adam Włodek, lecz zwięzłe w swej wymowie wiersze **Najcichszego sztandaru**, wiersze, na których znać uporczywe zmaganie się poety z formą, wynikają przede wszystkim z bezpośredniego odczuwania sercem i rozumem faktów dziejowej rzeczywistości społecznej. Taki właśnie aspekt nadaje zbiórkowi Włodka znaczenie tym głębsze, iż poeta unika krzykliwej łatwizny, szukając wymowy na równi prostej jak artystycznie nowej. Z tego powodu nie waha się nawet przed wprowadzeniem do poezji określeń dogodniejszych do zastosowania w prozie, zwrotów o krok graniczących z prozaizmami, wytłumaczonych tu jednak świadomym zamierzeniem poetyckim. Nie zawsze udaje się poecie pokonać wynikające stąd trudności. Niekiedy wszakże powstają w ten sposób w swoim rodzaju ciekawe próby urealnienia środków poetyckiej wymowy.

O wiele łatwiej radzi sobie Roman Sadowski. Jego **Życie naprzeciw** to przeważnie rodzaj poetyckich reportaży, wywodzących się ze szkoły Majakowskiego. Narzuciła to zresztą sama współczesność dziejowej tematyki, w przeważnej części utworów poświęconej Warszawie. Urozmaiceniem takiego stylu są wkładki czysto liryczne, nieraz o sugestywnej technice poetyckiej, aczkolwiek grzeszącej pewnymi łatwiznami. Na artyzmie Sadowskiego ujemnie zaważył pośpiech dziennikarski w chwytaniu na gorąco aktualnych zdarzeń lub wrażeń. Nie mniej odbija się w jego wierszach niewątpliwy talent poetycki, wymagający tylko pogłębienia stosunku autora do swych zadań twórczych.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
MARSZAŁKOWSKA 6
(parter, poprzeczna oficyna)

Redakcja przyjmuje we wtorki i czwartki od 16—18
Administracja w poniedziałki od 16—18

Wydawca: **Zespół „Lewy Tor"**
Redaguje: **Zespół literacki „Lewy Tor"**

Nr 893. — Druk. Spółdz. Wyd. „Czytelnik", Grochowska 194. B 02422